O ruchu Religijnym w Anglii.

Du mouvement Religieux en Angleterre par Jules Gondon. Paris 1844.
Die Kirche und die Kirchen. Ciąg artykułów X. Doellingera w Müncheńskich, historisch-politische Blätter.
Situation Religieuse de l'Angleterre par M. Audley.
Trzy Artykuły du Correspondant Recueil periodique 1844 i 1845 r.

---

a) Puzejsm, czyli tak zwany Anglo-katolicyzm.

Miła czy nie miła prawda dla dumy innych narodów, każdy przyznać musi, że Anglija zajmuje ważne, ba główne stanowisko w dziejach spółczesnych. Rozkazuje stu kilkudziesięciu milionom ludzi, przemysłem i handlem jeszcze nie zmiernie przemaga, siła jéj morska tak ważna zawsze, dziś najbardziéj przewyższa wszystkie inne choćby połączone. Przez marynarkę swoją stała się sąsiadką wszystkich ludów, doszła najwyższego szczebla w polityce. Choć siła jéj w znacznéj części naprężona i sztuczna, choć nosi w łonie swojem zarody chorób niebezpiecznych; przecie temperament jéj towarzyski tak energiczny, obok rzadkiego hartu woli, może ją wydzwignąć

z najniebezpieczniéjszéj toni nawet i bez szkody. Każdy pojmuje, jak przeważny wpływ wywrzeć musi na pęd religijny wieku, kierunek w jakim pójdzie Anglija: toż Niemcy a Skandynawskie ziemie i wyspy z jednéj strony, Włochy i Francya z drugiéj, z natężonem okiem, a biciem sercą śledzą jéj ruchy, i odgadują przyszłość. Ważna jest i nam poznać się bliżéj z pracą wewnętrzną tego męzkiego ludu. I jeżeli czytelnicy z zajęciem przeglądali zdanie sprawy w 1szym numerze pisma naszego zamieszczone o ruchu politycznym szkoły zwanéj *Nową Anglija:* sądzimy, iż z niemniéjszem zajęciem przyjrzą się zarysowi, daleko ważniéjszego i silniejszego ruchu religijnego, Szkoły Oxfordskiéj, znanego pod nazwą Puzejsmu czyli Anglo-katolicyzmu. Wyraz Anglo ma tu znaczenie odjemne. O czem ostrzegamy zachowując nazwę już przyjętą i utartą.

Lat temu kilkanaście, kiedy Anglija cała jeszcze wrząca *bilem reformy,* który tyle obiecywał (bo całkowite odrodzenie, przerodzenie się narodu) a tak mało dotrzymał: kilku Duchownych przywiązanych do Uniwersytetu Oxfordskiego przemysliwało jak podobny bill reformy przeprowadzić w łonie swego kościoła. Biedny ten kościoł Episkopalny, tak stary po trzech wiekach odrębnego trwania, sekularyzowany coraz bardziéj od parlamentu. oblegany coraz ciasniéj od Dyssydentow, co najgorsza sam trwonił zasoby swoje, i goniąc ostatkami, puszczał na wiatr żywotne zasady swoje z przerażającą obojętnością. Aby nikt nas o stronność i przesadę nieposądzał, przytaczamy własne słowa Pana Gladstone niedawno ministra handlu, i zczasem niezbędnego następcy Pana Peela. Znany on z niepośledních zdolności, z gorliwości w mniemaniach swoich, i przymuszania do Anglikańskiego *prawosławia.* „Niepodobna mu (kościołowi legal- „nemu) było utrzymywać się daléj w opinii powszechno- „ści, opierając się na politycznych dogodnościach a przy- „zwoitości, na wspomnieniach narodowych, na nauce za

„nadto rozwolnionéj, i za nadto wprowadzonéj w życie. „Miasto obudzenia summień piorunnym hukiem, nauka ta „zyskała sobie pewną przychylność, w głębszy je sen „coraz pogrążając, szmerem zdradliwym niewiem jakich „pochlebnych dzwięków. Nie mieszkanie w miejscu prze„znaczonem, wielość beneficyów, zmniéjszanie postępowe „liczby Sakramentów, obcinanie stopniowe służby Bożéj, „wzniosły nadużycia do przerażających rozmiarów. Re„formy wlekły się leniwo i przychodziły po niewcza„sie. Koniec końcem, mówiono, nie przyjdzież do pod„cięcia rosliny saméj z jéj narosłościami? Duchowieństwo „zupełnie zeświecczone niedorastało wysokości powołania „swego, pod czas kiedy za nadto jeszcze wystawało nad „poziom ogólny towarzystwa. Młodzież przeznaczona do „zapełnienia wyłomow w kapłaństwie, wiodła zwykle ży„cie rozpasane, potem, za zbliżeniem chwili poświęcenia „na kapłaństwo, przechodziła z obojętności lub niestatku „do przyzwoitości li zewnętrznéj. A z jakich powodow? „Oto bacząc na względy towarzyskie, religijne, ale wcale „nie idąc za przepisami prawdziwie Duchowego wychowa„nia. Słowem typ kapłański, w ideale swoim swiętości i „podniesienia, poszedł w zupełną niepamięć. Ludzie po„ważni a pobożni, musieli sami sobie tworzyć charakter, „karność, ognisko działalności; kościoł Anglikański zda„wał się pospiesznie zdążać ku stanowi, który oryginalny „jeden pisarz nazwał ***krotochwilą*** (a shame.) To co do „wnętrza, na zewnątrz stała organizacya niezmierna i po„wikłana, która wprawdzie oświadcza się jako nauczycielka „prawdy dla Narodowców, ale w gruncie był to prosto „zawód otwarty dalszo-rodnym zamożniéjszych domów „bakałarzom i całemu pokoleniu niedołęgów. Dostawało „się położenie niezależne a wygodne w zamianę za „***minimum*** obowiązków religijnych do dopełnienia. Co „do stósunków duchownych a osobistych między paste„rzem a ludem sobie powierzonym, albo pojęć zdrowych „obowiązków ciążących w moc starożytnéj karności, o tém „i myśleć co niema.“ (Foreign quarterly and Colonial Review p. 556. October 1843.)

Cóż gdybyśmy nie lękali się być za długimi w części krytycznéj, i pokazali szarpanie się wewnętrzne niższego Duchowieństwa z wyższem (low and High-Churchmen), tak iż Minister zdanie Biskupa swego nazywa *niedorzecznėm!* Gdybyśmy idąc za dziełem Pana Ward „Wzór Kościoła Chrześcijańskiego" (Ideal of a christian (Church) odsłonili wszystkie rany kościoła anglikańskiego; kazalnice puszczone na licytacyą, obiecywane i przysądzane tym, którzy są najmniéj *dogmatyczni;* schlebianie Epikureizmowi klass wyższych, opuszczenie zupełne ludu, zaniedbanie wychowania dzieci, wygaśnienie zupełne pojęcia samego doskonałości Chrześcijańskiéj! Cóż gdybyśmy idąc za tym pisarzem wykazali smutne skutki w życiu rodzinnem nawet nauki o nieużyteczności dobrych uczynków! Rozbieraniu dzieła tego poświęcimy osobny artykuł; jest ono bardzo uczące i dla naszego Duchowieństwa. Bo jeżeli z jednéj strony pociesza serce katolickie wyznaniem, że szukając Ideału Kościoła Chrześcijańskiego wciąż się spotyka z kościołem Rzymskim: z drugiéj wiele niedostatków, które w anglikańskim kościele wskazuje, zmuszają do poważnego zadumania się i zawstydzenia nas szczególniéj polaków duchownych jak świeckich. Z tego jednak cośmy przytoczyli aż nadto się tłomaczy powstanie ruchu Oxfordskiego, jego powodzenie i niepowodzenie. Inni sięgając daléj w tył, widzą w Puzejsmie jeden jeszcze fenomen oddziałania przeciw materyalizmowi okresu ubiegłego zaczętego przez metodystów, a popieranego przez presbyteryanów i nareszcie Anglikanów, pod rozmaitemi tylko kształty. Nie zaprzeczamy tego, wszakże powody przez nas przytoczone zdają się być przyczyną bliższą i przeważniéjszą. Raczéj powiedzieć by można, iż to jest obudzenie się szkoły semikatolickiéj trwającéj wciąż od czasów Henryka VIII., ktory chciał na samem zerwaniu z Rzymem poprzestać: kiedy tymczasem Elżbieta wprowadziła wyznanie Genewskie i starała się by te dwa żywioły pozostały jak mogą z sobą w zgodzie. Wciąż przecie one walczyły z sobą wodząc się w zapasy i przema-

gając podług okoliczności przychylnych jednemu lub drugiemu ruchowi. Dziś kiedy rzeczy przyszły do ostateczności w epoce naszéj, w któréj wszystkie zadania religijne i towarzyskie chcą i muszą wyjść na jasne, zaprobowali i Puzejści szczęścia rozszerzając zrazu mniemania swoje w przeglądzie *British-Critic* późniéj przez prace czasowe i oderwane znane pod imieniem „Tracts For the Times.“ Biskupi zrazu nie przychylni, późniéj idąc za opinią znacznéj części wyższéj publiczności nieco się zbliżyli, i znowu cofnęli przelęknieni krzykiem i nieprzychylnością osób rządowych w izbach i gabinecie, które czują, że im lejce duchowne wydzierają z rąk. —

Jaki będzie skutek téj walki? czy własnemi siłami potrafią się podzwignąć z tak ciężkiego upadku? niechcemy uprzedzać ani przesądzać zdania czytelników naszych. Zapewne że i kościoł katolicki w różnych czasach w różnych częściach swoich w blisko przynajmniéj takim znajdował się położenia. Wszakże wychodził z niego zawsze mocą urządzeń swoich nad wszystko silnych, mocą tajemniczego pierwiastku, którego po za nami nie stworyć! A potém, myśmy mieli zawsze do czego wrócić, wiara korzeń i podstawa wszystkiego, nigdy się w kościele uczącym naszym nie zachwiała. W Anglikanizmie obojętność dopiero w wierze i racyonalizm, zamknęła ciąg i przemiany wyznań wiary. Katechizmy które po ręku dzieci krążą są zarażone tém co sami Anglikanie różnowiarstwém zowią. Chrzest i Eucharystya wymazane z rzędu Sakramentów. „Poddawać w wątpliwość Symbol nicejski, (mówi znowu P. Gladstone), jest grzechem przeciwko wierze tak u nas jak u katolików. Tym czasem jesteśmy zmuszeni wyznać, iż w téj mierze kościoł Angielski cierpi herezyą we własnem swem łonie.“ P. Ward na wstępie dzieła swego wyznaje „wiara w bóstwo Chrystusa Pana daleko mniéj silnie jest wpośród nas wkorzeniona jak powszechnie sądzą.“

Ale czas już poznać aktorów tego poważnego i zajmującego drammatu, a naprzód tego, który dał imię swoje, a raczéj którego imię wzięto na oznaczenie nowéj

szkoły Oxfordskiéj. Ułożenie zewnętrzne Doktora Pusèj (podług osób które go odwiedzały) jest skromne, oko jego, badawcze i przenikające, z czoła swieci to coś, które ludzie zwykle gieniuszem zowią. Obyczaj jego uprzéjmy ba wykwintny; przyjmuje cudzoziemców grzecznie, i wielce rad od nich się dowiedzieć, co w Niemczech, Francyi i Włoszech myślą a mówią lub piszą o rucha religijnym Angielskim. Wpływ jego w Oxfordzie ogromny, słowo jego starczy za powagę, najbłahsze rady od niego przyjmowane, zachowywane z gorliwością i uwielbieniem. Pędzi życie czynne i pracowite. Czas swój rozdziela na modlitwę, naukę i uczenie umiejętności Teologicznych, i spiewanie w chórze. Beneficya przezeń posiadane są znaczne, ale hojność i miłosierdzie jego bez granic, większa chyba troskliwość w ukrywaniu dobrych uczynków swoich. Około takiego człowieka skupili się Newmann, Palmer, Williams, Froude, Percival Sibthorp, Ward, Oablej i tylu innych młodych duchownych, którzy budują dusze sobie powierzone w kościele Anglikańskim, lub przyszli pracować w winnicy Chrystusa a Piotrowéj pierwej, albo teraz z Newmanem. Rewolucya ta religijna z tego jest dziwną w tym wieku ***postępu najczęściéj z drogi***, iż na pozor cofa się w tył i w pocie czoła wiosłując zdąża do źródeł wiary swego kościoła i podań powszechnego. Po drodze nie jednemu się już udało przejrzeć do dna w falach niezmąconych tryskających ze skały na któréj Chrystus Pan kościoł swój zbudował. Sposób także w jaki się ta przemiana odbywa różna od pochodu zwykłych rewolucyi. „Wielka ta przemiana, mówi British Critic, stanie się w sposób, w jaki się odbywają wszystkie przemiany moralne, to jest stopniowo, a może nawet niepostrzeżenie. Przekonanie, dowody, przykłady żywotów świętych spółcześnie działać będą. Wpływ czasu przyjdzie nam także w pomoc ku złagodzeniu przesądów i wezwyczajeniu uszu do słuchania pewnych prawd.“ Tak postępując, doszli do tego że już nie są kalwinistami, a ***Rzyminami*** jeszcze nie. Podczas kiedy Biskupi są wciąż jeszcze za poddaństwem

kościoła względem stanu, szkoła Oxfordzka ogłasza niezależność dwóch władz. Wysunięcie naprzód takiéj zasady jest wypadkiem nader ważnym i dziwnie zbliża ją do wyobrażeń katolickich. W innych też punktach widać wyraźne zbliżanie się ku nam i ciągłe opadanie przesądów. „Ofiara Mszy (pisali w r. 1834) jest czystem „zepsuciem bez podstawy w pismie S^em^ albo w staro„żytności, bluzniercza i niebezpieczeństw pełna.“ W lat 10 niespełna czytamy w tymże samym British Critic „trze„ba przymnażać miasto ujmowania sposobności do Kom„munii ś., aby ofiara codzienna, którą duch Antychry„sta wymiótł z świątyni, była na nowo przywrócona „na każdym Chrześcijańskim Ołtarzu.“

W 1834 nazywano naukę przeistotnienia (transsubstantiation) ludzką i bezbożną, w r. 1843 Dr. Pusey kazał w Christe Church wykładając najdokładniéj i w sposób godny przedmiotu naukę o obecności rzeczywistéj. Widać od początku do końca, że jest głęboko przejętym tą prawdą, obfituje w obrazy, pełen przytoczeń z Ojców dla oddania skutków téj wielkiéj tajemnicy. Czuć w całéj mowie jakieś ciepło, swieżość i wdzięk niewymowny, pełną piersią oddycha się mową starożytności Chrześcijańskiéj. W prawdzie nieprzypuszcza jeszcze katolickiego przejestotnienia, podług niego, *osoby zostają we własnych swoich istotach.* Może jeszcze niepojął dobrze nauki katolickiéj w téj mierze, w każdym razie nie daleka już droga do przebycia.

Kazanie to stało się ważnym wypadkiem w Anglii. Na zarzuty odpowiadał wypisami licznemi z teologów swego kościoła. Przeciwnicy przywodzili swoje. Wytłomaczyliśmy już jak jedni i drudzy mogli się sądzić prawowiernymi. Cokolwiek bądź Uniwersytet musiał się oświadczyć, pobożna gorliwość mogła bydź pobudzoną jeszcze przyostremi wyrzutami Dr. Pusey, zwróconemi ku kanonikom miękkiego ogólnie, a wygodnego życia. Na zaskarżone podanie przez Dra. Fowcett professora Teologii i Vice-Kanclerza Pan Coynter kazał sobie ułożyć odpis kazania. Dr. Pusey otrzymał zwłokę dwudniową

dla dodania dopisów objaśniających. Dotychczas wszystko było zgodném z przepisami naraz podobny podejrzenia o herezyą. Ale tu się zaczyna ciąg nieprawności. Sród Pów. professorów wyznaczonych na sędziów Dr. Fowcett zasiada zarazem, naprzemian i z kolei podług potrzeby i jako oskarzyciel i jako sędzia. Oskarżony jest nie obecny, nie pozwalają mu nawet bronić się przez zastępcę. Sześciu doktorów odbywa posiedzenia swoje przy drzwiach zamkniętych: na zewnątrz ścisła tajemnica. Publiczność dowiaduje się z protestacyj Dr. Pusey, iż został dotknięty interdyktem na lat dwa. Skazany, oświadcza, iż mu nie przedstawiono propozycyi potępionych i że na próżno o to kołatał. Ogólnie przeto oświadcza zgodność swoją z nauką Anglikańskiego kościoła, a wyrok uważa za niesprawiedliwy, nieprawny, przeciwny ustawom Uniwersyteckim. Osoba wręczająca mu wyrok, dała do zrozumienia, iż powinien zachować zupełne milczenie. Wszakże Wicerektor z jakichkolwiek powodów napisał na reszcie te słowa w liście: „Dr. Pusey „może w mojém imieniu oświadczyć, iż mu odmówiono „tłomaczenia się." W kraju tak legalnym, jak Anglia, podobny tryb postępowania niezmierną przyniosł popularność kazaniu Dr. Pusey. W przeciągu parę miesięcy rozeszło się 35 tysięcy exemplarzy. W łonie Uniwersytetu podniosło się mnóstwo pytań, co właściwie z kazania było potępioném? Pytający milczeniem lub wybiegami zbici. Przyszło nowe przedstawienie od 230 członków nierezydujących w Uniwersytecie. Wicerektor P. Wynter odpycha ją jako zuchwałą, a następną odsyła na powrót pocztą jako buntowniczą. Między buntownikami był P. Gladstone obok wielu ludzi znakomitych ze swiatła i położenia towarzyskiego. To potępianie nie przeszkodziło Dr. Pusey kazać po za Uniwersytetem w dyecezyach, gdzie znalazł Biskupa po sobie.

Teraz powiedzmy słowo o drugim naczelniku szkoły Oxfordskiéj, który chociaż nie dał swego imienia ruchowi, przyłożył się tyle i może więcéj do jego rozwinięcia w kierunku przychylnym kościołowi katolickiemu

Swiéże nawrócenie się Dra. Newmann z kilku innymi Teologami tegoż Uniwerzytetu (razem już przeszło 20 od lat kilku) tém więcéj powinno zaostrzyć ciekawość, do bliższego poznania się z jego przeszłością, i zważenia zawodu, który przebiegł. Głęboki myśliciel, a pisarz swietny, odznaczał się on zawsze nauką sumienną i wielką szczerością. Możnaby go nazwać Janem nowéj szkoły. Posiadamy kilka tomów jego kazań i innych dzieł należących do nauki kościelnéj. Zawód swój kaznodziejski zaczął w kościele swoim najświętszéj Panny Maryi, i wykładał ciągiem nowe pojęcia swoje teologiczne. Sławny podróżnik niemiecki Pan Kohl zarzuca mu chłód pewny w kazaniu; wszakże i sposób dogmatycznopolemiczny, jakiego musiał się trzymać i natura Angielska mówcy i słuchaczów tłómaczy to poczęści. Zresztą zapał towarzyszy zwykle przekonaniu prawdziwemu czy mylnemu, ale zawsze zupełnemu i ostatecznemu: a Pan Newmann był w drodze, dopiero szukał i odkrywał ciągle. Cokolwiek bądź młodzież cisnęła się tłumnie u stóp kazalnicy, i słowo jego chociaż proste i spokojne, tak było pociągającém, iż sprawiło rewolucyą w wymowie religijnéj kościoła Anglikańskiego. Wysiłki starszyzny ku odwróceniu młodzieży od tych nauk zwiększyły wziętość mówcy. W krótce stworzył szkołę. Wypracowania jego w ***British-Critic***, i w ***Tracts for the times***, ożywiły polemikę w sposób dotąd nieznany. No. 9° jego traktatów dał w r. 1841 powód do walki stanowczéj z obu stron, chodziło bowiem o rozumienie 39[u] artykułów, składu wyznania Anglikańskiego. Nieszczęściem za wiele jeszcze ustępował wtenczas w rzeczach wiary i karności kościelnéj. Artykuł 25, przeczy jakoby pięć Sakramentów, odrzuconych przez kościoł Anglikański, ***były sakramentami w tém samém znaczenia, jak Chrzest i wieczerza Pańska***, nie mają bowiem ***znaku zewnętrznego wprost od Boga lub Chrystusa ustanowionego;*** a jednak może kościoł ma prawo wyrażać znak zewnętrzny jako Sakrament. Pan Newmann poczyna sobie w podobny sposób co do czysca

odpustów, czci świętych, obrazów, przejestotnienia, bezżeństwa Xięży, powagi Apostolskiéj i t. d. Pismo to wywołało krzyk silny i przeciągły sród Anglikanów. Wielu z professorów Oxfordskich użyło głośno bezimiennego pisarza, żeby go oskarzyć, o nieszlachetność w zadawaniu ran matce, któréj chlebem żyje, z ukrycia i jakoby w ciemności. P. Newmann przemówił otwarcie, wystawiając pierś odkrytą na wszystkie pociski, oświadczając wszakże, iż nie czuje się do obowiązku ulegania pisarzom artykułów, kiedy tym czasem kościół winien je dla miłości pokoju wykładać w znaczeniu najbardziéj katolickiém. Smutna czytać upadłe z pióra takiego człowieka wyrzuty błache i pospolite o nadużyciach obecnych kościoła katolickiego, człowieka, który ten sam kościół ogłasza dziedzicem obietnic pańskich. Smutna widzieć, ile ludzie najprawsi dopóki nie osadzą się ostatecznie w przekonaniu katolickim, pozwalają sobie ustępować przesądom tłuszczy, kiedy P. Newmann wyliczywszy, przeciw Rzymowi zarzuty o zepsowanie Ewangelii Chrystusa, o podstawienie swojéj i t. d., w podobny sposób otwiera duszę swoją w liście pisanym do P. Jelph. „Wiek „nasz dąży ku czemuś niezbadanemu, a rzecz nadzwy„czajna, jeżeli zastanowimy się nad jedyném wyznaniem, „które w ciągu lat ostatnich pokazało się pośrod nas, „posiadaczem tego nieznanego *jest kościół Rzymski.* On „*jeden*, pomimo błędów swoich, i niedogodności syste„matu swego w zastósowaniu, dał wolne, a porządne „rozwinięcie uczuciom najwnętrzniéjszym, uwielbienia, „ascetyzmu, otworzył swobodne, a bezpieczne łożysko „serdecznéj pobożności, i tyle innych, które wyłącznie „katolickiemi zwać można i wypada.“ Już X. Gerbet zwrócił uwagę innych, na ten język osobny miłości, który katolicyzm stworzył.

Co zasługuje także na uwagę to ciągłe zmiany, i kołowanie w szkole Newmana, obok ciągłego posuwania się ku nam. W miarę jak młodzi Duchowni obejmują parafije; odsłania się cała wystawa, a ozdobność obrzędu naszego; pochodnie błyszczą na Ołtarzach, pobożne

obrazy wschodzą pogodnie jak jutrzenka orzeźwiająca zmysły i budząca duszę do pienia pochwalnego Bogu, spiewy też pobożne brzmią w swiątyniach, zwykle odpowiednie duchowi katolickiemu, porywają wystygłych, do ziemi przykutych wyspiarzy do chwytania nót tajemniczéj harmonii wieczności. Cały ten *język* i *pismo dla nieuków*, jak go zwali starzy Ojcowie katoliccy, a jabym dodał te szkła powiększające i zbliżające Boga dla nas wszystkich żyjących pod obciążającém prawem zmysłów, wszystko to dziwi, zachwyca, lub gniewa te dusze żyjące od wieków tylu najmechanicznięjszą prozą życia, lub usychające z czczości za czemś wyższém, nadobniéjszém. Ztąd urosła głośna sprzeczka, komżaną ochrzczona *the surplice question*. Pod tém godłem drobiazgowém i smiesznóm napozor toczy się walka o całą szatę i twarz zewnętrzną katolicyzmu, o cały obrządek. Biskupi a Londyński i Exeterski najbardziéj, jakkolwiek przychylni w gruncie, nie śmieli bronić komży do ostatka, przeciw piorunującym protestacyom bogatych posiadaczy ławek, a loż kościelnych. Jużeśmy spomnieli, jak Xięża nawet i wierni Anglikańscy traktują swoich Biskupów, natychmiast uderzają *w nótę* Ewangielicką, iż ministrowie, jak Biskupi są prostymi, a płatnymi sługami wierych. Smutna poczęści prawda, ale niemiła wielebnym. Zostawili jednak niewinne białe komże losowi swemu, odwadze Ministrów, a łasce abonowanych wiernych. Było to wprawdzie poczęści oddziałaniem ducha semikalwińskiego, obudzonego, zaniepokojonego dziełem Pana Ward. Najbardziéj oburzyły przywracane składki na ubogich przy Ofierze; miły dla nas wyrzut, iż pamięć ciągła na ubogie członki Chrystusa uchodzi za najwydatniéj katolicką.

W kierowaniu a uprawie dusz, w opowiadaniu słowa Bożego, w naukach teologicznych, w życiu kapłańskiém widać w szkole Newmanskiéj wyraźny pociąg a dążenie ku stósowaniu się do naszych mistrzów, do naszych obrządków, słowem do naszego kościoła. Jeżeli w jednéj parafii słyszeć można z kazalnicy dowodzenie, że Rzym

jest Stolicą Antychrysta, w sąsiedniéj młody Minister ukazuje w kościele Rzymskim znamiona i piętna prawdziwego kościoła, którego angielski jest tylko gałęzią oczyszczoną, a staranniéj utrzymaną. Lud nieraz idzie posłuchać, co mówi X. katolicki w kaplicy, (kościoły katolickie od czasów prześladowania zowią się kaplicami *chapel* — tak że po dziś dzień i w Anglii i w Irlandyi wielkie pobudowano kościoły zawsze nazwę kaplicy noszą — wyraz kościół *church*, ile razy się nie doda: Catholic, oznacza kościół akatolicki,) nieraz go oto prosi o radę, i najczęściéj idzie za jego sądem. W sławnéj kwestyi *święceń* kapłańskich, puzejści utrzymują, iż one pochodzą z nieprzerwanego podania Apostolskiego, a przeto mogłyby bydź przyjęte od Rzymu, jak święcenia wyznań wschodnich; katolicy jednak w téj mierze mają sumienne wątpliwości, i obawy z powodu wielu Biskupów zaczynając od Cronmera, przejętych protestantyzmem lądowym do żywego, którzy pewno nie byli staranni o obrzędy i święcenia tradycyjnie. W takim kierunku pracowała szkoła Puzeja, z rosnącą gorliwością obok rosnących krzyków w łonie staréj hierarchii. P. Newmann popchnięty pokorą Chrześcijańską, oświadczył nawet żal swój, za cierpkie, obrażliwe, a niesprawiedliwe wyrażenia przeciw kościołowi Rzymskiemu, które mu spłynęły z pióra, nazywając je *nierozumném krzykalstwem*. „Jeżeli się mię spytacie „(mówi on), jak pojedyncza osoba może sobie pozwolić, „nie tylko myśleć, ale ogłaszać podobne rzeczy o ciele „tak starożytnem, tak potężném, które wydało tylu świę„tych z swego łona, odpowiem, jakem sam sobie odpo„wiadał: nie moje to słowa ogłaszam, ale idę za zgodą, „(consensus) Teologów mojego kościoła. Odzywali się „oni zawsze w wyrazach bardzo gwałtownych przeciw „Rzymowi, nie wyjmując najzacniéjszych i najuczeńszych „pośród nich. Chcę przyjąć ich systemat. Powtarzając, „co oni mówili, jestem zupełnie bezpiecznym. *W naszém* „*położeniu* patrzeć z ich punktu widzenia jest rzeczą pra„wie konieczną. Mam powody do obawy, aby taki ję„zyk nie był po większéj części przypisany gorącości

„mojego charakteru, i nadziei znalezienia poparcia postę-„powania mego u osób, które poważam. Pragnąłem za-„razem odepchnąć oskarzenia o Romanizm i t. d.“ Przyjaciele i nieprzyjaciele zrozumieli to oświadczenie; zakazano mu ogłaszać daléj traktaty (tracts), i wezwano do zrzeczenia się beneficyów, które mu w inszym celu były dane, jak dla skatoliczania Anglikanizmu (nie pamiętali naturalnie po kim były wzięte.) Opuścił probostwo swoje S. Maryi, i zabrał się z młodemi towarzyszami swemi dopisania żywotów świętych angielskich, starając się spółcześnie w życiu naśladować, choć w części surowość wzorów swoich. Żywoty te są z trzeźwą krytyką, a wielkiem namaszczeniem pisane. Olbrzymia, a nad wyraz wdzięczna postać S. Bernarda zajęła szczególniéj uwagę i porwała serce pobożnego Oxfordczyka. Już X. Ratyzbonne niejedne gorące, a z wnętrzności dobyte słowo powiedział w żywocie tego dziwnego Mnicha. W krótce P. Montalembert da nam owoc wieloletniéj sumiennéj pracy. P. Newmann przeszedł ostatni przedział, który go od nas oddzielał, jakoby dla zmniéjszenia żalu po wszystkiem, co za sobą zostawia, co go do tych czas trzymało, jakoby dla nabrania serca, zapatrzyć się z miłością na tę pociągającą postać, świecącą w rocznikach kościoła naszego, spólnych przed wieki i wyspie świętych. Przed zakończeniem tego artykułu, przytaczamy z miłością, a nie bez przyjemności dla czytelnika ustęp pełen wdzięku, świeżości i woni katolickiéj. W przedmowie do życia S. Stefana Hardinge, jednego z założycieli Cystersów, a Ojca, duchownego S. Bernarda, tak o tym ostatnim mówi: „Nie można miarą pospolitą charakteru S. Ber-„narda mierzyć. Bóg naznaczył świętego swego piętnem „szczególnem za pomocą cudów, które działał przez nie-„go, aby nikt nie śmiał ganić czynności tego męża. Wzbu-„dził go Bóg w białéj Cysterskiéj kapicy, bacząc na po-„trzeby swego kościoła, jak był wzbudził świętego Jana „Chrzciciela w szacie z wielbłądowéj sierci. Kiedy Ber-„nard, opuszczając swój klasztor, ściągał na drogę, którą „przebywał rzeszę chciwą ucałowania kroju siermięgi swo-

„jéj, o! wtenczas po promieniach miłości Bożéj, po dziel-
„ności nadprzyrodzonéj, która z niego wynikała, po sło-
„wach płomiennych, które wylatywały z ust jego, ła-
„two było widzieć, że to prawdziwy sługa Boży i jego
„kościoła. . . .“

„Życie Bernarda było dosłownie anielskie, dusza jego „zatapiała się w ciągłéj bogomyślności, sprawdzał ukrzy-„żowanie ciała, o którém mówi S. Paweł: wszystko co „z Ducha pochodzi, rodziło się i wzrastało w nim. . . . „To też Duch S. napełniał go weselem, znaném tylko du-„szom ukrzyżowanym. . . . Swięty Bernard zwracał zno-„wu kościołowi to niebieskie namaszczenie, dając mu „siłę opierania się gadatliwym i wysuszającym różnowier-„stwom, które groziły wtenczas zalewem maxym mądro-„ści świeckiéj. Wszakże wszysłko to S. Bernard winien „był klasztorowi Cystersów, i temu męzkiemu wychowa-„niu, stał się założycielem życia wewnętrznego w Chrze-„ścijaństwie. Nazwano go ostatnim z Ojców, i w rze-„czy stoi on zarazem i na krańcu kościoła pierwotnego, „który widział Boga twarz w twarz, i na pograniczu na-„szego, w którym tajemnicze działanie Bóstwa na du-„szę ludzką, tak staranie postrzegane, jest rozebrane, „opisane. . . .“

Człowiek, który to uczuł, pomyślił, napisał, ogłosił, nie mógł zostać dłużéj po za kościołem naszym, dziwna jeszcze, że został tak długo. Razy kilka już się wieść rozbiegała o jego przejściu. Przeczucie katolików i obawa Anglikanów prorokowały tu zarazem, nareszcie się sprawdziły. Ma w przedmowie do tłomaczenia swego dzieł S. Atanazego wyłożyć powody ostateczne decyzyi swojéj. Miał już naśladowców, inni go uprzedzili. Dwóch przyjął do kościoła rok temu były professor Uniwersytetu Moskiewskiego rodowity Rossyanin, schowany w Greckim wyznaniu, który kraj swój dla miłości wolności pańskiéj opuścił, a którego Bóg w Belgii do służby swojéj, i wolności synów Bożych wołał. Wiadomo, iż Puzejci zrazu z różnowierstwa chcieli naród swój do prostego odszczepieństwa przeprowadzić. Tym czasem w téj Belgii

pobożnéj, poważnéj, pracowitéj, przemyślnéj, która dziwnie przejezdnych pobożniéjszych Anglików buduje, spotyka młodych Puzejtów Grek nawrócony, mówiąc: „gdzie „wy dojść chcecie i spocząć, jam tam był i ostać się „nie mógłem, chodźcie! wy daléj, do końcami poszli." Dziś może zapewne razem w jednéj winnicy pracują. Bo sławiański kapłan każe słowo pańskie w Anglii z równą łatwością, jak je w flamandzkim i francuzkim języku, z zwykłą nam gorącością ducha, opowiadał. Jeżeli kiedy Duch Apostolski sławian opanuje, jaka dzwignia potężna w ręku kościoła. Sławianie już z przyrodzenia darem języków są obdarzeni, a mają świeżość i żywość uczucia, które już na zachodzie znacznie przygasło. Wszakże po słowach Newmanna, nie można powiedzieć, że Puzejci z loiki się li nawracają. Jakkolwiek prawda, iż żywioł rozumowy w narodzie tym przemaga, nie łatwo od razu ostudzonych, gorącości katolickiéj przywrócić. —

Zanim dalszą sprawę o ruchu tym ważnym i z obwodu do środka katolickiego i z ogniska odradzającego się katolickiego w Anglii ku obwodowi zdamy: zważym tu tylko, iż nabytek podobny dwudziestu już oto kilku młodych, gorliwych, uczonych Duchownych ważnym jest posiłkiém dla Duchowieństwa katolickiego w Anglii. Właśnie mu na Doktorach schodziło, przynajmniéj pierwszego rzędu. Dotychczas Duchowieństwo to z missyonarzy zagranicznych, Irlandczyków i swojskich w różnych krajach wychowanych, a od pierwszéj potrzeby, składało się. Nawał, ba przeciążenie pracą nie pozwoliło dotychczas ćwiczyć się im głębiéj w naukach i życie duchowne wyżéj rozwijać. Dziś już każdy Wikaryat prawie ma swoje Seminaryum, ćwiczenia duchowne i konferencye naukowe powszechnie już wchodzą w życie. Dotąd można powiedzieć łaska Boża nawracała, Duchowieństwo li przyjmowało do kościoła. Jeden Biskup Wiseman były Rektor kollegium Angielskiego w Rzymie, dziś koadjutor Wikaryatu środkowego, i przełożony kollegium St. Maryi w Oscott, człowiek Européjskiéj sławy i nauki, trzymał czoło w wyższéj polemice, i godnie przyjmował, przycho-

dzących po radę, objaśnienie i zbawienie. Dom jego od rana do wieczora przyjezdnemi napełniony. Widziałem w tém kollegium w sekcyi teologicznéj kilku młodych Puzejtów, dobréj postawy kapłańskiéj, i pilnie naukami zajętych. Wszakże i ten prałat, ręcznego bardziéj z przyrodzenia zakroju, przed parą tygodniami dał się słyszeć w Paryżu, iż od czasu jak się powszechniéj modlą za nawrócenie Anglii, nawrócenia już nie pojedyńczo, ale tłumnie przychodzą. My, prawi, tak mało w tym mamy udziału, iż ile razy czynnością naszą ludzką a zabiegi się wmieszamy, rzecz zwykle psujemy. I tak w wieku naszym, w téj Anglii naszéj, Bóg chce poniżyć duszę naszą i pokazać, że więcéj dba o modlitwę pokorną pobożnych niewiastek, niż o naszą naukę i przemysł. Dzięki Bogu, iż taki prałat tak mówi, a ja za Boskim Mistrzem naszym powiem: „Et haec oportet facere et illa non omittere."

Histoire du Consulat et de l'Empire par A. Thiers.

Pięć pierwszych tomów.

(Dokończenie.)

W pięciu tomach, które dotychczas wyszły, opisuje Thiers najpiękniéjszą epokę z życia Napoleona, epokę Konsulatu i początków Cesarstwa, czasy wielkiéj potęgi i wielkiéj chwały, naznaczone świetnemi zwycięztwami, chwalebnemi przymierzami, zaprowadzeniem porządku i wypracowaniem organizacyi wewnętrznéj. Francya silna słusznością tryumfowała, ale tylko nad najezdzcami, sama jeszcze nie była pożądała cudzego, niczyich nadziei z wyjątkiem Polaków nie omyliła, żadnéj niepodległości nie przygniotła. Dlugie pasmo pomyślności, jakie nam historyk przed oczy stawia, zaczyna się od ustanowienia Konsulatu po 18 brumaire, a kończy w krótce po koronacyi w Medialanie. Jaka tu mnogość wypadków i zjawisk, co zadań poruszonych. Konstytucya Sycyesa, urządzenie administracyi, kredyt i podatki, uśmierzenie po-

wstania w Wandei, szlachetne usiłowania o pokój, kampania jen. Moreau nad Dunajem, oblężenie Genui, przejście Ś. Bernarda, kompania Włoska, zakończona bitwą pod Marengo, zawiązanie ligi mocarstw neutralnych przeciw Anglii, ustanowienie banku, ułożenie kodexów, przedsiewzięcie wielkich prac w kraju, pokój z Austryą zdobyty pod Hohenlinden, sprzysiężenie machiny piekielnéj, pokój z Anglią w Amiens. Konkordat, zatargi z Tribunatem, urządzenie rzeczy pospolitéj Włoskiéj, Legia Hanorowa, konsulat dożywotni, negocyacye w Niemczech o Sekularyzacye, wyprawa do Haiti, zerwanie z Anglią, obóz pod Boulogne, spisek Jerzego Cadoudal i Pichegru, Cesarstwo, przyjazd papieża, ceremonia namaszczenia, zawiązanie się trzeciéj koalicyi — wszystko to autor przechodzi w porządku chronologicznym tak jednak, że każde pojedyncze zadanie finansowe, dyplomatyczne, administracyjne, religijne ujęte jest w pewną całość.

Nowego światła w dziele Thiersa nie wiele. Najciekawszy jest ustęp o obozie Bulońskim, w którym pokazuje dowodnie, że Napoleon miał szczery zamiar najechać Anglią, z resztą oprócz nieznanych szczegółów o spisku Jerzego Cadoudal i nieco o negocyacyach, które poprzedziły konkordat, wszystko się już od dawna w dziedzinie historyi pisanéj znajduje.

Niektóre rzeczy z *historyi Konsulatu* niech nam wolno będzie bliżéj rozpatrzyć.

Thiers jest wielkim stronnikiemześrodkowania władzy. Obraz porządku administracyjnego, zaprowadzonego za konsulatu, a istniejącego do dziś dnia, w następujący sposób kreśli:

Konstytucya postawiła na czele państwa władzę wykonawczą i władzę prawodawczą: pierwszą skoncentrowaną mniéj więcéj w jednym naczelniku, drugą podzieloną pomiędzy kilka ciał obradujących. Na każdym szczeblu administracyjnym trzeba było postawić wyobraziciela władzy wykonawczéj wyłączniéj przeznaczonego do działania, a obok niego umieścić ku oświecaniu i dla dozoru, ale bynajmniej nie do zastąpienia go w jego działaniu, mniejsze ciała obradujące jak rady: departamentalną, obwodową i

gminną. Téj myśli prostéj, jasnéj i płodnéj winniśmy piękną administracyą dziś we Francyi istniejącą. Pierwszy konsul postawił w każdym departamencie prefekta, którego obowiązkiem jest zajmować się wprost każdą rzeczą, tyczącą się państwa, a nie dopraszać się u administracyi ogólnéj o jéj odrobienie i prefekt ma zarazem zarząd spraw departamentalnych z pomocą i zgodnie z radą departamentalną wotującą środki. Administracyą gminy umieszczono bardzo właściwie w saméjże gminie, czy to mieście, czy wiosce. Zaś między gminą i departamentem utworzono pośredni szczebel okręg (arrondissement), tak między merem a prefektem stanął podprefekt, któremu dano zarząd pewnéj liczby gmin pod nadzorem prefekta. W gminie wyznaczono mera, także urzędnika władzy wykonawczéj tworząc obok niego radę municypalną, ciało obradujące. Mer jest prostym ajentem zależącym od władzy naczelnéj w rzeczach tyczących się państwa, od gminy w sprawach miejscowych; interessa gminy prowadzi wedle jéj woli, wszakże pod nadzorem prefekta i podprefekta, a zatém pod nadzorem państwa.

Na pierwszy rzut oka organizacya taka prostą się i piękną wydaje, boć umysłowi naszemu zawsze się podoba wszystko, co nosi pozory porządku, systematycznéj całości. Ale tu nasuwa się zapytanie, czy urządzenie administracyjne Francyi szanuje dosyć indywidualność prowincyonalną i osobistą, czy dosyć pola swobodnemu rozwinięciu się wszystkich sił narodu zostawia? Nam się zdaje, że systemat Napoleoński, jak w ogóle każdy systemat za ścisle w rzeczach ludzkich przeprowadzony, grzeszy jednostronnością, to jest tylko jeden z warunków bytu spółecznego z uszczerbkiem innych wynosi. Zapewne wielkieześrodkowanie władzy robi naród potężniéjszym na zewnątrz, ale w ten sposób ognisko życia przenosi się tam, gdzie jest ognisko rządu; rząd upadający gubi cały naród. Dzisiaj kiedy tlą jeszcze we Francyi iskry życia prowincyonalnego pod popiołem, kiedy południe i zachód nie przestają bronić z całą usilnością indywidualności swojéj, mniéj nas uderza zmartwiałość form Napoleońskich, ale można przewidzieć czas, ile że przy pomocy kolei żelaznych, kiedy się zatrą różnice językowe i obyczajowe, wtedy bodaj czy nie padnie na

cały kraj niemoc, która jest zawsze skutkiem zbytecznego wytężenia.

Religijne stanowisko Thiersa, które oznaczyliśmy pierwéj, rozświecimy kilku przytoczeniami. Wzmianki o Bogu, a jeszcze bardziéj o Opatrzności napotykamy bardzo często, ale obok tego są i *Przeznaczenia* wspominane. Opowiadając o podpisaniu przedwstępnéj zgody z Anglią, tak się wyraża:

Są dni, w których tak ludy jak indywidua zmęczywszy się wzajemną nienawiścią, czują potrzebę pojednania choć chwilowego, choć nawet pozornego tylko. Ludowi angielskiemu zdało się wtedy, nieszczęściem na krótko, że kocha Francyą. Uwielbiał bohatera, mędrca, który nią rządził i krzyczał z uniesieniem: *Niech żyje Bonaparte.* Taka jest radość ludzka, żywość jéj i głębokość zależy od niewiadomości rzeczy przyszłych. Dziękujmy mądrości Bożéj, że zamknęła przed człowiekiem księgę przeznaczeń. Jakżeby się wszystkie serca były zmroziły, gdyby zasłona kryjąca przyszłość była razem spadła.

Rozdział o zawarciu konkordatu jest jeden z najpiękniejszych.

Pierwszy konsul, *mówi Thiers*, życzył sobie, żeby rocznica 18. brumaire przeznaczona na obchód zgody Francyi z Europą, była razem świętem pojednania Francyi z kościołem. Nie szczędził starań w przyspieszaniu negocyacyi ze Stolicą świętą. Ale trudniéj jest traktować z władzą duchowną, jak z władzą świecką, bitwy wygrane nie wystarczają; zaszczytna to dla myśli ludzkiéj, że zwyciężyć jéj nie może sama siła, tylko kiedy się z nią łączy przekonanie. —

Szkoda, że autor piękną myśl zastrzeżeniem zepsuł. Siłę postawił obok władzy przeświadczenia, a podobno kiedy siła popiera przeświadczenie, to do niéj zwycięztwo należy.

Kreśląc dzieje religii z czasów rewolucyjnych przyznaje Thiers, że rewolucya w rzeczach religiinych przekroczyła wszelkie granice sprawiedliwości i rozsądku. Z duchowieństwa niepodległego, majętnego, posiadającego prawa polityczne Assemblée Constituante zrobiła niejako urzędników płatnych. O ile ten krok był orzeczeniem zmiany, jaka dawno w stosónkach nastąpiła, o ile znosił ślady średniowiecznego porządku rzeczy, o ile

Xięży odsuniętych od opieki nad wyzwolonėm już umysłowo pokoleniem, od spraw świata na korzyść obowiązków duchownych i życia duchownego oddalał, zgromadzenie miało słuszność i w niczém sumień nie obrażało; ale kiedy zachciało się prawodawcom świeckim zmieniać dowolnie podział diecezyi, wprowadzać obieralność w organizacyą kościelną, znosić instytucyą kanoniczną, to jest prawo potwierdzania biskupów, jakie służy papieżowi, kiedy obłąkani myślą, żeby wszystkie urządzenia pod jedną wziąść miarę, przepisali dla duchowieństwa konstytucyą cywilną, oburzyły się umysły i rozbrat nastąpił.

Ci którzy to wszystko zrobili, *mówi historyk,* mieli jak najlepsze chęci. Byli to ludzie wierzący, Janzeniści gorliwi, ale ciasnego umysłu, uparci w sporach teologicznych, przeto bardzo niebespieszni w sprawach tego świata. Jak gdyby dla uzupełnienia złego zażądali od duchowieństwa przysięgi na konstytucyą cywilną. Takim sposobem zaniepokoili sumienia księży szczerych, a niechętnym pretext podali, słowem przygotowali schizmę... Rzym zabronił przysięgi. Część duchowieństwa, posłuszna na głos papieża, odmówiła jéj, inna część zgodziła się na przysięgę i utworzyła pod nazwą *przysięgłego* albo *konstytucyjnego,* duchowieństwo uznane przez władzę i jedynie tylko przypuszczone do sprawowania obowiązków swego stanu. Jeszcze nie wypędzono księży, poprzestano na zakazie odprawiania obrządków dla jednych, kiedy innym było to pozwolone. Wszakże ogromna większość ludzi religijnych przenosiła księży odsuniętych od urzędu, bo sumienie w rzeczach wiary jest drażliwe, łatwo przestraszające się i nadewszystko nie dowierzające władzy. Sprzyjano księżom, którzy uchodzili za prawowiernych i mieli pozór prześladowanych; oddalano się od tych, których prawowierność wydawała się wątpliwą i którzy mieli rząd za sobą.

Jedni odprawiali nabożeństwo skrycie, drudzy otwarcie, konstytucyjni prześladowali opornych, schizma była wyraźna. Tymczasem wszystko we Francyi nagle się odmieniało, jak w polityce, tak i w religii, *zgromadzenie prawodawcze* i *konwencya* daleko za sobą *Constituante* zostawiły. Już nie Janzeniści ale Encyklopedyści wyro-

kowali o losach najświętszych rzeczy, zniesiono wszystkie wyznania i tylko z obawy ostatecznéj anarchii pojęć zawyrokowano, że istnieje Bóg (Etre Suprême). Księży mordowano i wypędzano od rzezi Wrześniowéj aż do upadku Robespierra i niesprawiedliwie Thiers uważa, że to było oddziałanie przeciw ich związkom z Wandejczykami. Daty dowodnie pokazują, kto wojnę rozpoczął. Pod Dyrektoryatem ustała proskrypcya ciągła, czasem tylko rząd ostro się obchodził z księżmi odkrytymi. Za słodszych czasów konsulatu duchowni powychodzili z ukrycia i zaczęli tłumnie z zagranicy wracać. Obrzędki znowu zostały pozwolone, ale schizma zawsze istniała, księża *przysięgli* i *nieprzysięgli* stali naprzeciw siebie, jedni i drudzy mieli swoję hierarchią, jedni i drudzy stronników. Pierwszy konsul uderzony tém rozerwaniem postanowił zaradzić złemu.

Sposób myślenia Pierwszego Konsula w rzeczy urządzenia towarzystw, *mówi Thiers*, był za jasny i za głęboki, żeby mógł obojętnie w téj epoce na rozprzężenie religijne we Francyi patrzéć. Oprócz tego kierowały nim wyższe widoki.

Trzeba wiary religijnéj, trzeba nabożeństwa każdemu Stowarzyszeniu ludzkiemu. Człowiek rzucony wśród świata, bez wiadomości zkąd przychodzi, gdzie idzie, dla czego cierpi, nawet po co istnieje i jaką nagrodę za długie niepokoje swego życia osiągnie; zagłuszony sprzeczkami innych ludzi, którzy mu powtarzają jedni, że jest Bóg stwórca rozumny wszech rzeczy, inni że nie ma Boga; jedni że istnieje dobre i złe i mają służyć za miarę jego postępowania, inni że złe i dobre zostały tylko wymyślone przez samolubstwo możnych na ziemi; wśród podobnych sprzeciwieństw człowiek doznaje konieczněj, niepowstrzymanéj potrzeby utworzenia sobie w tych wszystkich rzeczach wiary niezmiennéj. Wyrabia więc sobie wiarę prawdziwą albo fałszywą, wzniosłą albo śmieszną. Wszędzie i zawsze, w każdym kraju, w starożytności, jak w nowszych czasach, równie w krajach oświeconych, jak w dzikich znajdujemy go u stóp ołtarzy raz godnych uszanowania, to znowu podłych i krwawych. Ile razy nie panuje jedno wyznanie silnie wkorzenione, tysiąc sekt zażartych w sporze, jak w Ameryce, tysiąc haniebnych zabobonów, jak w Chinach poruszają albo poniżają

umysł ludzki. Jeżli zaś zdarzy się tak, jak we Francyi w r. 1793, że wir przemijający porwie i uniesie starożytną kraju religią, człowiek w chwili, w któréj poprzysiągł, że w nic wierzyć nie będzie, sam sobie kłamstwo zadaje i szalona cześć bogini rozumu postawiona obok rusztowania przychodzi dowieść, że szlub jego był równie próżny, jak bezbożny.

Sądząc przeto ze zwyczajnego i niezmiennego biegu rzeczy, człowiek potrzebuje religii. Cóż tedy więcéj odpowiada potrzebom oświeconego towarzystwa, jak religia narodowa, ugruntowana na prawdziwych uczuciach serca ludzkiego, zgodna z przepisami czystéj moralności, uświęcona przez czas i która bez przymusu i bez prześladowań jest w stanie połączyć, jeżli nie całość, przynajmniéj ogromną większość obywateli u stóp starożytnego i szanowanego ołtarza?

Takiéj religii wymyślić nie podobna, jeżli od wieków nie istnieje. Filozofowie nawet najwynioślejsi — mogą stworzyć filozofią, poruszyć nauką swoją wiek, któremu zaszczyt przynoszą, są zdolni myśl obudzić, ale nie obudzą wiary. Wojownik chwałą okryty może założyć państwo, religii nie założy. W dawniejszych czasach widzimy przykłady mędrców i bohaterów, którzy przypisując sobie związki z niebem, podbijali umysły ludu i narzucali mu religie. Ale w naszym wieku twórcę religii okrzyczanoby szalbierzem i chociażby był straszny jak Robespierre albo wielki jak młody Bonaparte, usiłowaniami swojemi śmiesznośćby tylko ściągnął.

W r. 1800 nie trzeba było wynajdować nowości. Czysta, moralna, starożytna wiara istniała, była to odwieczna religia Chrystusa, dzieło Boga wedle jednych, dzieło ludzi wedle innych, ale wedle wszystkich dzieło głębokie wzniosłego reformatora; dzieło to przez ośmnaście wieków objaśniały konsylia, wielkie zgromadzenia ludzi najwyżéj wykształconych. Z każdéj epoki, którzy pod nazwą herezyi rozbierali po kolei wszystkie układy filozoficzne, przyjmując raz po razie opinie najbardziéj prawdopodobne, najbardziéj towarzyskie o każdém z wielkich zadań przeznaczenia ludzkiego, przyjmując je powiedzieć można większością głosów rodzaju ludzkiego, aż dopóki nie utworzyła się całość niewzruszona nauki, która się zowie *jednością katolicką,* nauki często zaczepianéj, zawsze zwycięzkiéj, u stóp któréj najwznioslejsze jeniusze przyszły uchylić głowy z posłuszeństwem. Istniała religia, która była podbiła wszystkie oświecone narody, ukształciła obyczaje, pieśni

natchnęła, dostarczyła przedmiotów poezyi, malarstwu, rzcibiarstwu, wycisnęła swoje piętno na wspomnieniach narodowych, znak swój umieściła na sztandarach czy zwycięzkich czy zwyciężonych. Na chwilę porwana wielką burzą umysłu ludzkiego, skoro tylko rozjaśniło się niebo i ocknęła się potrzeba wierzenia, znalazła się znowu w głębi serc, jaka wiara najrodzimsza i najkonieczniéjsza dla Francyi i dla Europy......

Wielkie Jeniusze nie tylko między filozofami, ale i między panującymi Voltaire i Fryderyk obrzucali obelgami religią katolicką i dali hasło żartów, które pięćdziesiąt lat trwały. Jenerał Bonaparte, który miał więcéj dowcipu jak Voltaire, więcéj sławy jak Fryderyk, mógł jeden tylko przykładem uszanowania przygłuszyć śmiechy ostatniego wieku....

Usposobienie moralne jenerała Bonaparte skłaniało go do wyobrażeń religijnych. Wyższy umysł bywa uderzony pięknością stworzenia właśnie w miarę swojéj wysokości. Rozum pojmuje dzieło rozumu w systemacie świata i każdy człowiek niepospolity jest zdolniejszy, jak człowiek wierny dojrzeć Boga w dziełach Jego.

Trudno lepiéj ze strony praktycznéj bronić katolicyzmu. Żałujemy, że musimy poprzestać na tym krótkim wyjątku i że nie podobna nam przytoczyć wszystkich rozumowań przeciw zaprowadzeniu niepodległego, narodowego kościoła albo protestantyzmu we Francyi.

W negocyacyi ze stolicą Apostolską położył Napoleon następujące zasady. Wyzucie duchowieństwa z praw politycznych i z własności — mianowanie księży przez rząd z potwierdzeniem papieża — pensyonowanie duchowieństwa z ręki rządu — zmniejszenie liczby diecezyi z 158 do 60 — oddanie juryzdykcyi nad duchowieństwem Radzie Stanu.

Dla rozwiązania wszystkich trudności zażądał, żeby pepież wezwał biskupów przysięgłych i nieprzysięgłych do złożenia swoich godności — rzecz bezprzykładna w dziejach kościoła — i żeby nowych biskupów mianował, tak z pomiędzy jednych, jak i z pomiędzy drugich.

Ten rozumny młodzieniec, *mówi daléj Thiers,* tak głęboki w swoich widokach, tak niewzruszony w swojéj woli, ten młodzieniec rządzący Francyą znalazł się szczególnem zrządzeniem Opatrzności postawiony na scenie

świata w obec papieża wielkiéj cnoty, charakteru i twarzy anielskiéj, stałości zdolnéj wznieść się aż do męczeństwa.

Po długiéj negocyacyi konkordat został podpisany nie bez trudności do samego końca. Żeby zastraszyć Rzym, pierwszy konsul użył środka mniéj godnego, pozwolił na zebranie się w Paryżu soboru księży konstytucyjnych. Thiers znajduje to naturalném, my chcielibyśmy, żeby bezstronny czytelnik fakt ten przymierzył do jasnego i poważnego sposobu, w jaki dręczona wymagalnościami kuria papiezka od początku do końca w téj sprawie postępowała: polityka duchowna rzymska zyskuje na porównaniu z polityką świecką.

Zażądano dymissyi od dawniejszych biskupów. Prawie wszyscy zgodzili się z wolą papieżą. Thiers przytacza z uszanowaniem listy, jakie niektórzy z nich przy téj okoliczności do Rzymu przesłali. Jeden z biskupów pisał: „Nie wacham się ani chwilę siebie poświęcić, skoro „dowiaduję się, że ta bolesna ofiara przyda się ku przy„wróceniu pokoju ojczyznie i zapewnieniu zwycięstwa re„ligii. Niechaj wiara powstanie chwalebnie z gruzów, „niech się wzniesie nie tylko nad moje najdroższe widoki „osobiste i korzyści doczesne, ale nawet nad moje po„pioły, jeśli moja śmierć na zadosyćuczynienie wystar„czy. Niechaj rodacy kochani znowu się pogodzą, niech „powrócą do wiary i do dobrych obyczajów. Innych „życzeń nie mam za życia a umrę szczęśliwy, jeśli się „ziszczą.“ *Wyznajmy,* wykrzykuje tu autor, *że instytucya, która wlewa ochoczość do takich ofiar albo je nakazuje, która dyktuje podobne wyrazy, jest zaiste piękną.*

Jak przyszło do ogłoszenia konkordatu, pierwszy konsul napotkał żywą oppozycyą szczególniéj w Trybnacie. Dopiero kiedy ją przełamał, przedstawił Ciału Prawodawczemu konkordat i razem ustawę o policyi wyznań. Ustawa ta miała łączyć w sobie duch konkordatu z duchem wolności gallikańskich i znaną jest pod nazwą Artykułów Organicznych. Oto główniejsze jéj zarysy: Zupełna wolność wyznań pod opieką rządu zostaje upoważniona. — Co się tyczy religii katolickiéj, waruje się

że żadna bulla, breve albo list papiezki nie mogą być ogłoszone we Francyi bez potwierdzenia rządu — żaden delegat rzymski z wyjątkiem urzędowego wysłańca nie ma być tolerowany w kraju. — Każde zgwałcenie czy to urządzeń cywilnych w rzeczy religijnéj czy praw krajowych popełnione przez duchownego, winno jako nadużycie (abus) podpadać jurysdykcyi Rady Stanu — bez rozkazu rządu Sobór ani ogólny ani częściowy nie może się zebrać. — Ma być tylko jeden katechizm potwierdzony przez władzę publiczną. Każdy duchowny przeznaczony do nauczania w Seminaryach jest obowiązany przyjąć propozycye Bossueta zawarte w oświadczeniu 1682 r. (tam są wyszczególnione wolności gallikańskie) i t. d.

Powiedzmy prawdę oczéwistą: artykuły organiczne są dziełem podejrzliwości i niechęci. Zarody wszelkiego prześladowania wyraźnie się w nich znajdują. Ludzie pojedyńczy nie przyjmują stósunków bez zaufania, czy mógł je przyjąć kościół, który nie siłą ale miłością panuje? Papież zaprotestował i choć późniéj zamilkł, nigdy się na ustawę organiczną nie zgodził. Do dziś dnia rozliczne trudności ustawa ta sprowadza, nie ma roku, nie ma miesiąca, żeby się przeciw niéj nie oburzały sumienia wiernych i mają prawo utrzymywać katolicy, że ich zawiodła rewolucya lipcowa, bo napisane w karcie konstytucyjnéj obietnice dla nich pozostały bezskuteczne. Thiers wychwala niezmiernie artykuły organiczne, nazywa je prawem rozumném i głębokiém, przytém dodaje:

Dla rządu francuzkiego było to prawo zupełnie wewnętrzne, obchodzące tylko władzę i jako takie nie potrzebujące potwierdzenia Stolicy Apostolskiéj. Dosyć, że nie zawierało nic przeciwnego konkordatowi, żeby dwór Rzymski nie miał rozsądnego powodu do zażaleń.

Bardzo dobrze, ale któż miał sądzić o zgodności artykułów organicznych z konkordatem czy papież czy rząd francuzki? Papież zaniósł protestacyą i maszże strona wyrokować? Maszże być wolno katolikom rozporządzać rzeczami kościelnemi wbrew zdaniu głowy kościoła? Nie jestże sofizmatem utrzymywać, że zakaz ogła-

szania bulli, prawo poddające duchownych w rzeczy zastósowania konkordatu jurysdykcyi Rady Stanu, wzbronienie wszelkich zgromadzeń duchownych, zgromadzeń, które są najpiękniejszym objawem życia religijnego i które, jak widzieliśmy, sam Thiers jak najsprawiedliwiéj uczcił, że w końcu gwałcące sumienia wymaganie zgody na deklaracyą Bossueta są *rzeczą wewnętrznego urządzenia kraju nie potrzebującą potwierdzenia Stolicy Apostolskiéj?*

Jurysdykcya Rady Stanu złożonéj z ludzi wszelkich wyznań, w prawie kanoniczném wcale nie oświeconych, jest jedną z rzeczy, która najbardziéj katolików francuzkich oburza: wprawdzie Rada Stanu kary nie wymierza, wydaje tylko *oświadczenia, że zaszło nadużycie* (déclarations d'abus), ale w dziedzinie sumień każde słowo wyrzeczone ma wagę niezmierną. Thiers o Radzie Stanu mówi: *Jest to ciało polityczne i administracyjne ożywione prawdziwym duchem rządowym i nie podlegające względem duchowieństwa staréj nienawiści, którą pod dawną monarchią parlamentu dla niego czuły.* I to jest omyłka, bo właśnie wszystkie niechęci Parlamentów i Janzenizmu przechowały się tradycyjnie w Sądownictwie a w Radzie Stanu najwięcéj jest prawników.

Chcąc chwalić artykuły organiczne, trzeba nie do spokojnego sądu ale do uprzedzeń przemawiać: to też Thiers użył w tém miejscu brzmiących wyrazów, któremi nagość przedmiotu zręcznie pokrył.

Artykuły organiczne, jeden z najważniejszych punktów dzisiejszych sporów religijnych we Francyi nasuwają nam na myśl inne głośne zadanie, zadanie przywileju Uniwersyteckiego. Thiers w III tomie wspomina już o wyobrażeniach pierwszego konsula w rzeczy wychowania publicznego, ale, że właściwie założenie Uniwersytetu późniéj przypada, i my na inny czas bliższe rozpatrzenie téj kwestyi zostawimy.

Żeby skończyć z częścią religijną w Historyi Konsulatu, przytoczymy jeszcze bardzo sprawiedliwe zdanie autora o dziele Chateaubrianda: Génie du Christianisme.

Dzieło to, mówi, napisane przez młodego Bretona, krewnego P. de Malesherbe (*obrońcy Ludwika XVI.*), oddalonego z kraju przez długie lata, opowiadało w niezmiernie świetny sposób o pięknościach Chrześcijaństwa i wynosiło stronę moralną i poetyczną obrzędów, które gorzkiemi żartami dwadzieścia lat pierwéj znieważano. Gwałtownie skrytykowane przez P. P. Chénier i Ginguené, którzy zarzucali autorowi fałszywość i przesadę kolorytu, namiętnie chwalone przez stronników powrotu do religii, poniżane i wywyższane jak wszystko, co ma wielką wartość, robiło głębokie wrażenie, bo przemawiało do uczucia prawdziwego a wtenczas powszechnego, uczucia nieokreślonego żalu za tém, co minęło, za tém, czém pogardzono, co zniszczono i czego się żałośnie pożąda, kiedy raz znikło. Takie jest serce ludzkie, co istnieje, dręczy go i jest mu ciężarem, co istnieć przestało, nabywa niezmiernego powabu . . . . . Dzieło P. de Châteaubriand nie odznaczało się może czystym smakiem, prostą i silną wiarą jaka znamienuje pisarzy wieku Ludwika XIV., ale przedstawiało w pociągający sposób dawne i już minione obyczaje religijne . . . . . Być może, że ono tylko zostanie z książek swojego czasu i złączone z pamiętną epoką przechowa się tak, jak się przechowują marmurowe rzeźby na fryzie wielkiego gmachu.

Z ciekawością szukaliśmy w całém dziele Thiersa ustępów o Polsce i o Polakach i nic prawie nie znaleźliśmy. Być może, że umyślnie odłożył wszelką wzmiankę aż do czasu, kiedy będzie mówił o utworzeniu księstwa Warszawskiego, w każdym razie, zdając sprawę o expedycyi do San Domingo i o trudach i cierpieniach, jakie w tym niegościnnym klimacie wojsko do wytrzymania miało, powinien był choć kilkoma wyrazami uczcić żołnierzy legii Jabłonowskiego, których większa część zostawiła tam kości swoje.

Szczegółów o stósunku X. Czartoryskiego z cesarzem Alexandrem, o położeniu Xięcia na dworze rossyjskim i wpływie jego na sprawy państwa napotkaliśmy wiele ale nie takich, jakieby nas oświecić mogły. Zajmujący jest ustęp o planie mediacyi Europejskiéj podanym gabinetowi Rossyjskiemu przez X. Piatoli. Przytaczamy zeń krótki wyjątek.

Jeden z awanturników, jacy, nie wiedząc sposobu użycia znakomitych zdolności, dowcip i biegłość południową na północ zanoszą, przybył szukać zatrudnienia w Polsce. Zwał się on Piatoli, był Xiędzem i zaraz w początkach dostał się do boku ostatniego króla Polskiego. Po upadku Polski wyniósł się do Kurlandyi a z Kurlandyi do Rossyi. Miał on jeden z tych niespokojnych umysłów, które nie mogąc się wznieść aż do sfery rządzenia państwami, sfery zawysokiéj dla nich, zajmują się tworzeniem planów najczęściéj pełnych złudzeń ale nie zawsze zasługujących na pogardę. X. Piatoli od dawna rozmyślał nad Europą i stało się, że przypadek, który go zetknął z młodymi przyjaciołmi Alexandra dał mu sposobność wywarcia wielkiego choć skrytego wpływu i przeprowadzenia części swoich pojęć w postanowienia wielkich mocarstw. Marzycielom drugiego rzędu rzadko się to udaje. X. Piatoli dostąpił smutnego zaszczytu, że niektóre z myśli rzuconych przez niego w r. 1805 zostały wznowione w r. 1815 i weszły w traktaty. Z tego powodu warto się nad jego pracami zatrzymać, tém bardziéj, że nie ma tu dowolnych przypuszczeń i że myśli jego są wyłożone w istniejących dotąd memoryałach skrytych, które wówczas Alexandrowi przedstawiał. X. Piatoli znajdując w Xięciu Czartoryskim umysł skłonniejszy do zastanowienia i poważniejszy jak u innych młodych ludzi rządzących Rossyą, z nim się bliżéj związał i widoki ich w końcu tak się z sobą zgodziły, że plan przedstawiony Cesarzowi równie do jednego jak do drugiego należał.

Z projektu przeobrażenia całéj Europy wyjmiemy tylko to, co się Polski tyczy:

Zostawała północ. Wiele tam było do roboty wedle szczególnego organizatora Europy, który tak swobodnie mappą świata rozporządzał. Prusy od Rossyi źle były odgraniczone. Dwa te mocwartwa podzieliły się były Polską. U Xiędza Piatoli, u młodych ludzi, których wyobrażeniami politycznemi kierował, u Xięcia Czartoryskiego nadewszystko a nawet u Cesarza Alexandra rozbiór Polski za wielką uchodził zbrodnię. W istocie Alexander w czasach swojéj bezczynnéj i skrępowanéj młodości, za życia Pawła, nie raz powtarzał z wylaniem, że uważa rozbiór Polski za szkaradę przez swoich przodków popełnioną i że się postara złe nagrodzić. Ale jak wskrzesić Polskę, jak ją postawić samą, odosobnioną wśród państw nieprzyjaznych, które ją pochłonęły? Jeden tu nasuwał się sposób. Wypadało połączyć w całość wszystkie jéj

dawniejsze części i oddać ją potem Cesarzowi Rossyjskiemu, któryby jéj zapewnił niepodległe instytucye. Tak Polska przeznaczona w dawniejszych wyobrażeniach Europy, żeby służyć za tamę Niemcom przeciw Rossyi, miała stać się tamą a raczéj przednią strażą Rossyi przeciw Niemcom. Oto marzenia tych młodych polityków, taką oni ambicyą wpajali w Alexandra. Z tém wszystkiém wielkie oburzenie przeciw niegodziwości ostatniego wieku, szlachetna bezinteresowność narzucona wszystkim dworom, żeby wstrzymać wzrost Francyi, do niczego innego w ostateczném następstwie nie doprowadzały jak do wskrzeszenia Polski na korzyść Rossyi. Nie raz to pierwszy okaźna cnota narzucająca się uszanowaniu świata kryje wielką próżność i wielką ambicyą. Dwór Rossyjski, który posuwał do najwyższego stopnia affektacyą sprawiedliwości i bezinteresowności, który zamierzał sobie gdzieś z pod bieguna dawać nauki Anglii i Francyi, w głębi myślał o zagarnięciu zupełném Polski. We wszystkich tych projektach jedno uczucie na uszanowanie zasługuje, uczucie Xięcia Czartoryskiego, który, nie widząc na razie podobieństwa podźwignięcia Polski polskiemi rękoma, chciał w braku innych rąk rossyjskich użyć. Xiąże jeden miał cel prawy: podlegał tylko zarzutowi często wznawianemu przez Rossyan, często aż o cesarza opierającemu się, że nie tyle myślał o interesie Rossyi jak o interesie swojéj pierwszéj ojczyzny, i że w tym widoku popychał monarchę do źle obrachowanéj wojny. X. Piatoli długo przywiązany do Polski podzielał wszystkie myśli Xięcia. Wszakże trudno było, traktując o *alians pośrednictwa* (alliance de médiation) na podstawie bezinteresowności, występować z ideą oddania Polski Rossyi, jeden tylko przedstawiał się sposób. Łatwo było przewidzieć, że Prusy przywiązane do pokoju i do korzyści neutralności nie zgodzą się zapewne na przystąpienie do aliansu. Wtedy za karę najechanoby państwo pruskie, zabranoby Warszawę, zajętoby linie Wisły i, przyłączywszy te części dawnéj Polski do prowincyi już posiadanych przez Rossyą, utworzonoby nową Polskę, któréj Alexander zostałby królem i prawodawcą.

Ciekawy ten projekt podajemy czytelnikom bez uwag, ile że za mało wiemy o memoryałach X. Piatoli, żebyśmy o nich coś więcéj jak Thiers powiedzieć mogli.

Opuszczamy ogólniejsze rzeczy, ale, nim zamkniemy nasze zdanie sprawy, niech nam wolno będzie przytoczyć parę portretów, w których odmalowaniu dowcip i

doświadczenie autora jaknajświetniéj błyszczą. Portret Sieyesa pomimo wyraźnéj względności uderza szerokością sposobu.

Sieyés, *mówi*, który nigdy pałasza do boku nie przypasał, był prawie równym jenerałowi Bonaparte. To dowodzi, jak wielką jest potęga rozumu, nawet kiedy człowiekowi brakuje przymiotów, które rozum użytecznym, zdolnym do zastósowań robią. Kiedy przyszła chwila przyłożenia ręki do dzieła, Sieyés leniwy, zgryźliwy, zacięty w swoich wyobrażeniach, jątrzący się ludu przeciwnością, tracący głowę, nie był w stanie współubiegać się o wpływ z młodym kolegą, który mógł pracować dzień i noc, nie mięszał się żadném sprzeciwieństwem, choć uderzał szorstkością, nie miał zgryźliwości, posiadał dar ujmowania ludzi, ile razy mu się podobało; a kiedy nie chciał zadać sobie téj pracy, zdołał ich zawsze uderzyć wyższą siłą. Od Sieyésa wszyscy zgodnie jednéj tylko rzeczy wymagali, chcieli, żeby dał projekt do nowéj konstytucyi. W owéj epoce naród był jeszcze nieco przesiąkły wyobrażeniami osiemnastego wieku, ufano choć nie tyle jak pierwéj, że instytucye ludzkie może czysty rozum tworzyć, że z głowy prawodawcy wychodzą gotowe konstytucye. Niepodpada wątpliwości, że gdyby rewolucya francuzka potrzebowała była Solona albo Likurga, Sieyés był godzien zostać jednym lub drugim, ale w naszych czasach krom doświadczenia innego prawdziwego prawodawcy nie ma....... Rzecz ciekawa i godna zastanowienia. Sieyés, człowiek z umysłem wzniosłym i głębokim, z sercem szczerze do wolności kraju przywiązaném, w lat dziesięć przebiegł całe koło niespokojności, bojaźni i odczarowań, które największą część rzeczypospolitych w średnich wiekach i najsławniejszą z nich Wenecyą doprowadziły do księgi złotéj i do rządów nominalnego władzcy... Wszakże arystokracyi nie zaimprowizować, zaimprowizować można tylko despotyzm.

Portrety Fouchégo, Talleyranda, Lucyana, Kardynała Fesch są równie dobre. Portret Talleyranda inaczéj pojęty jak w historyi Ludwika Blanc znajdujemy. Prawda jest podobno między ocenieniem P. Blanc a ocenieniem Thiersa.

Kończąc, powtarzamy raz jeszcze, że ***Historya Konsulatu i Cesarstwa*** nie jest prawdziwą historyą, choć wyżéj od pamiętnikow stoi. Sam Thiers mówi: ***Potomność zwa***:

ży wypadki na szalach sprawiedliwszych jak nasze, bo je trzymać będzie w ręce ziwnéj i niewzruszonéj. Wszakże kto tylko ceni doświadczenie, powagę, jaką daje bliska znajomość wielkich spraw świata, bystrość dowcipu i jasność w wykładzie: z korzyścią dzieło znakomitego pisarza odczyta. W ojczyznie jego skoro się tylko ukazało, wzniósł się jeden głos pochwały, nie brakło porównań z Machiavellem, z Guicciardinim. Jeden z krytyków uznał nawet w Thiersie ideał historyka przez Cycerona postawiony i tylko wyraził żal, że zamiast *robienia* historyi pisać ją musi. My, unikając wszelkiego przesadzonego uniesienia, staraliśmy się oddać słuszność jednemu z celniejszych pisarzy naszych czasów, wypowiadając wszakże śmiało różnice w pojęciach. Spodziewamy się, że nam nie będzie poczytano za zuchwalstwo, żeśmy z naszego stanowiska pisarza i dzieło ocenili: ślepa i łatwa admiracya wedle nas dowodzi braku przekonań albo niskiego stopnia ukształcenia.

SPROSTOWANIE

niektórych tłómaczeń z Tureckiego znajdujących się w dziele p. t. Collectanea z dziejopisów tureckich rzeczy do historyi polskiéj służących

przez

J. J. Sękowskiego.

2 Vol. 8 Warszawa 1824 i 1825.

(Artykuł trzeci i ostatni.) (1)

Ferman, czyli List Sułtana Murada do Króla Batorego.

Tłómaczenie z tekstu tureckiego, dołączonego przy drugim tomie Collectanea.

List pisany jest charakterem biórowym czyli dywanowym *Dywan Jazysy,* jakiego używają tylko do fermanów i paszportów, na których czele Tuhra czyli imie Sułtańskie wraz z jego tytułami, pospolicie w miejscu własnoręcznego podpisu się umieszcza. Inny sposób ręcznego pisania nazywa się *Ryka.*

1) W Numerze IV. Przeględu daliśmy część pierwszą poselstwa *Resmi Ahmed Efendego* do Prus. W niéj znajdywało się wszy-

Tuhra.

Zwyciężający zawsze Sułtan Murad Chan syn Sułtana Selim Chana. —

Po obydwu stronach Tuhry czyta się: *„hu, leh kralina*, on jest do Króla Polskiego." —

Najgodniejszy z pomiędzy wielkich Xiążąt, czcicieli Jezusowych najszanowniejszy z pierwszych Mocarzy ludu Chrystusowego, Pośredniku spraw rzeczypospolitéj Chrześciańskiéj! Zawsze szczęśliwy, wielki i poważny! Przewodniku wszelkiéj zalety i chwały! Samowładzco królestwa polskiego! Królu Stefanie Batory! (obyś przy końcu żywota twojego stanął na drodze prawdziwéj wiary). Niech Wam będzie wiadomo, skoro błogosławione to cesarskie moje pismo dojdzie rąk waszych, iż doniesiono nam za rzecz pewną, że kozackie szkodniki z twierdz polskich ponad Dunajem, granicy błogosławionego naszego państwa — a szczególniéj gromada łotrów, których głównem siedliskiem są miasta Mankierman, Czerkeskierman, Kan-ewy i Brasław napadli niedawnemi czasy na prowincyą Mołdawską i poczynili tam różne szkody. — Wiadomo nam także, że Hetman Wasz imieniem Nikola pochwycił Herszta téj szajki, w chwili kiedy uciekała już w strony swoje: „niech go prowadzą do kró„la" — rzekł on, a jednak dozwolił mu powrócić do domu; pojmawszy i uwięziwszy wszystkich spólników jego sam hetman powrócił do Was. — Już napisaliśmy byli w sposób groźny i mieliśmy Wam posłać list nasz cesarski, domagając się, abyście nam oddali czy żywego złoczyńcę czy głowę jego, aż owe odbieramy u wysokiéj porty doniesienie od Sylistryiskiego Dawuda, który jest wzorem wielkich urzędników naszych (a którego sława niech brzmi na zawsze): przy tém list wojewody Mołdawskiego uwiadamiający, że zjawił się znowu jakiś nędzarz, mieniący się bratem herszta pierwszego; że wkroczył do prowincyi Moł-

stko, co się Polski w zdaniu Sprawy posła tyczy; drugiéj części, w któréj jest opis Berlina, nie umieszczamy; z trzecim artykułem kończymy wyjątki z większéj pracy, na jakie obręb pisma pozwalał. Autor przerobi zapewne wszystkie tłómaczenia P. Sękowskiego i, dołączywszy do tego innych jeszcze materiałów z pisarzów tureckich, przysłuży się użytecznem dziełem nauce historii polskiéj. Czytelnicy łatwo dostrzegli, że sprostowania nie były krytyką ale przejrzeniem dosłownem pierwszego przekładu z dodatkiem uwag, ile razy je przedmiot nastręczał. Dzisiajszemu tłómaczowi nie chodziło w téj pierwszéj próbie o styl i poprawność, chciał tylko pokazać, że P. Sękowski rozmyślnie czy nie rozmyślnie wielkie popełnił omyłki i że przetopienie jego wersyi może mieć swoją użyteczność. (Przyp. Red.)

dawskiéj na czele dwu tysięcy z górą strzelców piechoty polskiéj i konnych kozaków, wydał walną bitwę, osiadł na bazarze bliskim Jass i trzyma całe Miasto w oblężeniu. — Wszak od czasów szlachetnych Ojców i wspaniałomyślnych Dziadów naszych, (których groby niech Bóg najwyższy światłem ciągle otacza), aż do dnia dzisiajszego Banowie kraju polskiego, Magnaci i lud wszystek spokojność zachowywali, znając widno, że było korzyścią dla nich, kiedy trwał nienaruszony pokój pomiędzy nami zawarty, szanowali prawa jego, nie było nadużyć, żaden rozbójnik nie wkraczał z gromadą zuchwałych w granice Mołdawii a dla rabunku dóbr błogosławionego naszego państwa; ani uciekał w swój kraj, by tam się kryć bezkarnie, raz złego do syta nabroiwszy. Przecz wasz wyżej wspomniony Hetman postąpił zupełnie w brew warunkom przymierza, gdy schwytawszy herszta, niepospieszył żywego wydać albo głowy jego odesłać do progu szczęśliwości; przytrzymując go niby w zamiarze stawienia go przed wami. Tak i inni zuchwalcy wzniecać tu mogą ogień podobnychże nadużyć i sprowadzać większe jeszcze klęski, mówiąc sobie „Brójmy i rabujmy, snać wolno, kiedy nas w pokoju zostawiają!“ Zaprawdę, powolność Wasza i wielkie pobłażanie stały się już przyczyną, że i drugi herszt łotrów się znalazł.

Pamiętajcie, żeście byli niegdyś przedmiotem wysokich cesarskich względów naszych, znacie, że przeważną potęgą majestatu naszego chętnie przyłożyliśmy się do ułatwienia, by Was królem obrano, bośmy się spodziewali, że i dla nas samych nie jedno ztąd dobre wyniknie. A jednak od czasu jakcim na tronie zasiedli, już dwa czy trzy razy plaga zawichrzeń nas dotknęła, azaliż to nie oczywisty dowód, żeście już stracili wszelką przychylność ku Nam? — Skoro więc dojdzie rąk waszych uszczęśliwiający list nasz Cesarski, wezcie na uwagę niejednokrotny dowód szczeréj przyjaźni, jaka was pierwéj łączyła z wiecznietrwałą portą naszą i, choć na przyszłość nie zaniedbujcie mieć baczenia i czujności! starajcie się dostawić Nam bez zwłoki jak najprędzéj żywego burzyciela, który uciekł do Was i jest w waszym ręku lub głowę jego! — A, jeżelibyście mogli ruszcie się i sami, przybądźcie z wojskiem do twierdz, w których się dziś znajdują rabusie i weźcie ich w karby; zwłaszcza, jeśli macie siłę po temu, odłóżcie na bok wszystkie zajęcia Wasze; wyjdźcie spiesznie w pole, przybywajcie i wymierzajcie srogą karę za wykroczenia.

Lecz, jeśli i Wam zagraża napad wrogów, albo przeszkadzają inne jakie ważne sprawy, albo nakoniec sami nie

jesteście w stanie wyruszyć osobiście i własnemi siłami tych zuchwolców pokonać, dajcie nam o tém szczegółowo wiedzieć, a my wyszlemy ztąd natychmiast niezliczone tysiące wojska dla uśmierzenia złego.

A, gdyby i w tedy wymknął się jakim sposobem z rąk walecznych młodzieńców naszych herszt złoczyńców i uszedł znowu w strony Wasze, co można zawczasu przewidzieć, to, jeślibyście znowu pokazali taką samą gorliwość w dostawieniu go Nam żywego albo odesłaniu jego głowy jak wtedy kiedy, raz pojmany uciekł z rąk waszych czy wypuszczowy został, co się już wyżéj objaśniło, a co było przeciw prawom przymierza, jakie Nas z sobą wiąże; jeślibyście się ociągali tak jak się dziś ociągacie z nadesłaniem Nam głowy albo żywéj osoby łotra; jeślibyście mówię dawali opiekę i temu drugiemu nikczemnikowi, skoroby umknął z walecznych rąk mężow naszych, wówczas wstrząśnie się niechybnie i zachwieje z gruntu posada pokoju istniejącego między nami a lud i grody srogo ucierpią! Postępujcież nadal stósownie do tego, cośmy tu powiedzieli; nie zwalniajcie ani na chwilę baczności a pieczy Waszéj i usiłujcie w sposób godny chwały dopełniać obowiązków; takim tylko sposobem pozostaną w pokoju lud i grody Nasze. — Pisano w ostatnich dniach okazałego miesiąca zil'hidżdże — roku 985 — (J. C. 1578). z Łaski Boga najwyższego! w błogosławionym Konstantynopolu."

Nadto jest ważnym ten list Sułtański, zwłaszcza że go pisał do tak wielkiego Króla, jakim był Stefan Batory, żebyśmy mieli zostawić bez wytknęcia umyślnych lub nieumyślnych błędów, jakie Pan Sękowski w przekładzie swoim porobił. —

Błędnie on przeczytał *Tuhrę*, tłomacząc „*Miurad chan, syn Selim-chana, syn Suleyman-chana zwyciężający zawsze.*" — Prawda, że zwykli wymieniać Turcy na wzór Arabów po kilkakrotnie imiona ojca, dziada, pradziada i t. d., jednak tu tylko Ojciec Murada (a nie *Miurada*) jest wyrażony. — *Sahibn delailil medżdi wel iftychar, przewodniku wszelkiéj zalety i chwały*, przełożył „*wlekący poły wspaniałości i powagi.*" Nie ma tu mowy o połach. Wyraz *delail, indicia,* wziął za *ezjal, sinus, syrmata, cauda vestium,*" bo tak mu wskazywała arynga fermanów w dykcyonarzu Menińskiego, z którego rzecz żywcem wypisał. —

„Gdy przed niejakim czasem hetman Wasz, imieniem Nikoła, sam osobiście złapał wichrzyciela powszechnéj spokojności, który na czele niesfornéj chałastry kozackiéj z Mankiermanu, Czerkies-kiermanu (Czerkoska), Kau-Ewi i Brasławia, najechał był i opanował ziemię Multany, i splądrowawszy ją szeroko, tysięcznych dopełnił bezpraw, a potém znowu do krajów Waszych powrócił, następnie zaś wspomniony hetman Wasz Nikoła, mając jechać na Wasze spotkanie, rzeczonego rabusia i wszystkich jego spólników po różnych zamkach osadził i pilnie strzedz ich zaleciwszy sam w drogę do Was wyruszył i t. d.“

W tym okresie tłómacz napotkał dwa pierwsze przypadki, z których *Emri fesad kazaklar*, *szkodniki kozacy*, niewiedząc dokąd się odnosi, użył go za przymiotnik drugiego *eszkija, banda łotrów* i dla tego nie mógł wspomnieć o twierdzach polskich ponad Dunajem i o granicy tureckiéj — *tewedżdzuch, conversio,* nigdy się nie tłómaczy: *mając jechać na spotkanie*, bo w takowym razie używa się wyraz *istykbal.* — W przypisku tłómaczy nazwisko miasta *kan-ewy* przez *dom krwi* i powiada, że to jest wyraz tatarski, a jakżeby wyrzekł to samo po turecku? *Jedy kulede mahbus olan giaurler iezun kanewy wardyr, w zamku siedmiu wieży Konstantynopola jest dom krwi dla uwięzionych niewiernych! Orada kankojda wardyr, i studnia krwi jest tam równie*, (mowa tu o studni, w którą rzucano dawniéj ciała straconych, zkąd wypływały na morze Marmora) W dwóch powyższych przykładach widzimy te same wyrazy a to jest jednak mowa turecka. P. Sękowski zapomniał, że wszystkie pokolenia ziemi *Mawerannehr* czyli inaczej Transoxanu mówiły i dziś mówią tylko językiem tatarskim. Turcy od czasu jak wkroczyli i usadowili się w Europie ukształcili swój język za pomocą słów arabskich i perskich; odjąwszy im tę okrasę, ujrzałoby się jedynie prosty i gruby język tatarski. Nie można zatém odróżniać od siebie tych dwóch języków; kto zna jeden, ten znać musi i zrzódło jego. —

„Te wszystkie okoliczności, będąc najdokładniéj do wiadomości Naszej doprowadzone, kiedyśmy już mieli pisać do Was najusilniejsze listy domagając się przysłania Nam osoby

lub głowy tego najezdnika, wtedy, ku wielkiemu zdumieniu Naszemu, bey sylistryjskiego sandżaku, wzor i ozdoba wysokich urzędników, imieniem Daud (którego cześć oby zawsze trwać mogła!) wespół z wojewodą Bohdanu przysłali do wysokiego progu naszego listy z doniesieniem, że nikczemnik jakiś, mieniący się bratem owego rabusia, na czele dwóch przeszło tysięcy pieszych i konnych kozaków, uzbrojonych w ognistą strzelbę, wpadł na ziemię Bohdanu, napełnił kraj wojną i pożogą, i nakoniec, obrawszy stanowisko w miejscu niezbyt od Jass odległem (Jass pazary), samo miasto ścisłem oblężeniem opasał.“

Mógł się zdziwić Sułtan, skoro posłyszał o powtórném wtargnieniu wojsk polskich do Mołdawii, jednak w tekscie tureckim nie znajduje się *„ku wielkiemu zdumieniu Naszemu.“* Wyrazy: *Mukkem dżenk ołup*, *wydał bitwę*, nieznaczą bynajmniéj *napełnił kraj wojną i pożogą.“* We frazesie *Jasz bazarynda oturup osiadł na Jaszkim bazarze,* nie zrozumiał tłómacz do czego się odnosi litera *nun* zaimek dzierzawczy w wyrazie *bazarynda,* (który przeciw ogólnemu zwyczajowi wymawiać każe przez p, *pazarynda*), dla tego musiał dodać *„w miejscu niezbyt od Jass odległem“* — list turecki nic tego nie mówi. Litera *ja,* która się przy wyrazie *etrafi* znajduje, jest także zaimkiem dzierzawczym i daje poznać, że, skoro się oblega miasto Jassy, więc i bazar Jasski niedaleko być musi. —

„Wiadomo Wam, iż od czasów nadziadów szanownych i przeważnych przodków Naszych, (których oby Najwyższy raczył zawsze otaczać groby niezgasłą światłością!) aż do dnia dzisiejszego banowie lihscy, wielmożce i cały w ogólności narod, zachowując się w pokoju, istniejące między dwoma państwami przymierze uważali za zrzódło swéj potęgi i zasadę pomyślności krajowej, i ściśle przestrzegali umowionych warunków. Lecz gdy dzisiaj, jeden niegodny rozbojnik, wypadłszy z granic lehskich z szayką włóczęgow i łotrów poważa się najeżdżać na ziemię Bohdanu, należną do Strzeżonych od Niebios państw Naszych, wyrządzać na niéj tysiączne bezprawia i burdy, i nakoniec, uchodząc znowu do lihskich krajów, znajduje tam bezkarność swych zbrodni; czyn taki nie jestże oczywistem i jawnem zdeptaniem istniejącego przymierza? I kiedy Wasz Hetmann, mając w swych ręku tego wichrzyciela, zostawia go spokojnie, i wyjeżdzając do Was, osoby ani głowy jego nieprzysyła do Naszego

progu szczęśliwości; czyż wszystkie włoczęgi i próżniaki lińskie myślić wtenczas nie mogą, że dopełnianie podobnych burd i rozbojów nie tylko że żadnéj kary nie ściągnie, ale eszcze pozyska dla ich opiekę, a ugruntowani w tem przekonaniu, czyliż w ów czas nie mają napełniać zawieruchą sąsiedzkie krainy i siać w nich pożar spustoszenia? Jakoż, w rzeczy saméj, powolność i pobłażanie Wasze stały się przyczyną tak pierwszéj zuchwałości tych rabusiow, jak powtornego zniszczenia Bohdanu.“

Ten cały okres mocno jest przesadzony. Wyrazy: ***eszkyja, insolentes, fesad, iniquitas, szenaet, mala actio, mufsyd seditiosus*** znajdują się w tekscie po dwakroć i stósownie do rzeczy; Pan Sękowski zaś powtarza je razy trzynaście i to z hojnemi dodatkami, prorok zaleca słowy: ***emanetyna bak, sahabina giru weresyn, patrz i czuwaj nad powierzoną ci w zakład rzeczą, byś ją koniecznie oddał temu, komu się należy!*** My pozwolimy sobie wszystkie te dodatki zwrócić mu jako jego własność. ***Ban, dominus, princeps, gubernator,*** przybrali turcy z języka Chyrwatow; przeto mylnie go w przypisku przez ***król*** tłomaczy P. Sękowski.

„Kiedyście wprzody stali się byli przedmiotem wysokich względow Naszych cesarskich, my, potężną sprawą kosrosowej przewagi Naszej osadzając Was na królewskim tronie spodziewaliśmy się ztąd wielu pomyślnych dla państwa Naszego skutkow: przecież, te kilkakrotne burze, rokosze i zagony nie za innych, jak tylko za Waszych zdarzyły się rządow, i przeświadczyły Nas dostatecznie o Waszej niepilności i niepamięci danych obietnic.“

Nesp ołmak, bydź obranym, nieznaczy nigdy „osadzać na królewskim tronie,“ inaczej mielibyśmy w texcie: ***nesp itmek.*** — Wyraz ***fitneler, discordia,*** przesadnie został oddany słowy: „te kilkakrotne burze, rokosze i zagony,“ następny zaś, ***edemi ihtymani,*** fałszywie oddał tłómacz „przez niepamięci danych obietnic.“

„Wypada więc teraz, abyście, gdy uszczęśliwiające cesarskie listy Nasze dojdą rąk Waszych, mając na baczeniu prawidła przenikliwej dbałości, i postępując w duchu przyjaznych stosunkow, jakie między wysokim i wiecznotrwałym progiem Naszym a Wami zachodzą, natychmiast do Naszych drzwi szczęśliwości odesłali osobę albo głowę najezdnika

który dopełniwszy bezpraw i rozbojów na ziemi Bohdanu, znowu się schronił w granice Waszych krajow, i którego macie dotychczas w ręku Waszych; a co się tycze sprawców powtórnéj swawoli, należy, abyście pojść sami na czele wojsk Waszych, i jeśli macie dość siły, schwytać rabusiow przebywających w zamkach wyż pomienionych, i przykładnie ich ukarać, za pierwszy i najpilniejszy przedmiot dla siebie uznali." —

Wyrazy: *gerek dyrki*, potrzeba; *min ba'd bessyret we intybah uzreh ołup*, abyście mieli choć na przyszłość baczenie i czujność; *asytani muchelledul erkanymyze olan wufuri mewalat we mussafatynyz maudżibindże*, z uwagi na niejednokrotny dowód szczeréj przyjaźni jaka Was pierwéj łączyła z wiecznię̨trwałą portą naszą, te wszystkie wyrazy mówię, nieznaczyły i znaczyć nie mogą „mając na baczeniu prawidła przenikliwéj dbałości i t. d." Końcowe zaś słowa „abyście za pierwszy i najpilniejszy przedmiot dla siebie uznali," nieznajdują się zupełnie w tekscie tureckim. —

„Jeżeli zaś z innej strony zostajecie w niebezpieczeństwie napadu nieprzyjaciela, lub macie jakie arcyważne przeszkody, albo nareszcie, nie jesteście w stanie pokonać bronią zuchwalców; tedy szczegółowo i obszernie przedstawcie Nam swą niemożność, abyśmy, posławszy nieprzeliczone z owych Prowincyi wojska, sami surowo ich ukarali."

Bu dżaniblerden, *z tąd*, *z tych stron*, nie można tłomaczyć „z owych prowincyi," wyrazu zaś, *hezar, tysiąc*, niewyczytał P. Sękowski i opuścił. —

„Gdyby zaś Herszt tych burzliwych łotrów umknął jakim sposobem przed dowodcami sił naszych, i schronił się do lihskich krajow, na owczas Wy sami wszelkiej dołożycie usilności aby go schwytać, i osobę lub głowę jego Nam dostawić: gdyż, jeślibyście dla jakichkolwiek przyczyn, w brew wierze istniejącego przymierza puścili wolno albo się wzbraniali przysłać Nam osobę lub głowę najezdnika, który jak się wyżéj powiedziało, sprawiwszy niepokoje na ziemi Naszéj, powrócił do siebie i przez Waszych urzędnikow schwytany został; czyli też, jeśliby i ów drugi nikczemnik, co po nim bohdańskie najeżdżał hospodarstwo, umknąwszy rąk naszych dowodców uciekł na Waszę ziemię i Wybyście schwytać go omieszkali, albo mu jaką świadczyli opiekę; w takich rzeczach, pokój łączący oba mocarstwa

będąc zachwiany w najgłębszych swych zasadach, szczęście i dobro ludów niechybnie staną się pastwą smutnych rosterków i niezgód."

Z przyczyny *szojleki, tak, jak*, Pan Sękowski niezrozumiał całego okresu, nie dał uwagi na *eger, ieśli*, co nakazuje tłómaczyć przez tryb warunkowy, dalsze słowa aż do przestanku, pododawał gromadę wyrazów, niewyczytał *bekiarymyz, nasi mężni, młodzi, nieżenni*, i całą myśl drugi raz powtórzył.

„Dla tego więc przyzwoitą jest mieć się na pilnéj baczności, i żadnych niezaniedbywać środków ani omieszkiwać sposobów, jakie tylko gorliwość i przezorność nastręczać mogą, dla zachowania ludom dobrodziejstw wzajemnéj zgody i sąsiedzkiego pokoju. Pisan w ostatnich dniach świętego Xiężyca zilhidżdże, roku dziewięćset ośmdziesiąt piątego. —
W stołecznem mieście
Konstantyneje."

I tu jest przesada: wyraz *święty* nie istnieje w tureckim języku; mówiąc o świętych Chrześcijańskich wyrażają się przez *ezyż*. Słowa zaś, *be minneti teala, z łaski Boga Najwyższego*, tłómacz całkiém opuścił, dodając za to w stołeczném mieście, czego w tekscie nie ma.

Poselstwo do Rossyi Derwysz-Mohammed-Efendego roku 1755.

Przekład
z roczników tureckich, pod tytułem: Tarychy Wasyf Efendy.
Tom. 1. k. 61.
(Collectanea tom 2. k. 290.)

Derwysz Mohammed Efendy za powrotem z poselstwa swojego zdał następujący raport:

Roku 1168 hidżry w pierwszych dniach miesiąca robial-achyr (J. C. 1755 d. 1. Stycznia), Derwysz Efendy

wyruszył w drogę od wysokiéj porty. W trzydzieści dni stanął w pobliżu Benderu i napisał zaraz do Abdułłah Paszy, rządcy tego miasta, oznajmując mu, w jakiéj przybywa godności. Wspomniony rządzca wysłał zaraz na jego spotkanie własnego kijaję, (*vicegubernatora paszy*) z kilku na prędce zebranemi sługami, nakazując, by był z okazałością przyprowadzony; ugaszczał go wspaniale przez dni kilka; dał mu pierwszego z Agów swoich za towarzysza i przewodnika i siódmego dnia miesiąca dżumazyul-ewwel (2. lutego) odprawił go w dalszą podróż, stósownie do tego jak cel poselstwa wskazywał.

Skoro tylko zbliżył się poseł do ziemi polskiéj, puścił się zaraz wodą na drugą stronę rzeki, która stanowi granicę; spotkany na rzece od Mihmandara wysłanego od Polaków, wyszedł z nim do *Nazarzecza,* zkąd wyruszywszy nazajutrz, dostawiony został przez Mihmandara do Wosilkowa, wioski leżącej na granicy Rossyi; tam przepędził dni dziesięć, zmuszony czekać na karetę i konie do podwód; następnie wyruszył wprost do Kijowa, gdzie stanął w przyzwoitym domu, wyznaczonym mu przez generała miasta, który go zaprosił do siebie na suty bankiet. —

P. Sękowski niedał uwagi na następne punkta. 1. wyraz *ghurret, trzy pierwsze dni miesiąca muzułmańskiego,* wziął za wyraz znaczący ilość dni większą; i urosła różnica w epoce, jakoż mówi: „opuściwszy Carogrod na nowiu xiężyca rebiulachyr (3. stycznia 1755),“ dalej „dnia 7. xiężyca dżumazy'l-ewwel (7. lutego)“ i tak następnie. — 2. słowa *Abdullah Paszaja tehzyr we iszaret, i napisał zaraz do Abdullah Paszy* i t. d., opuścił zupełnie, co się nie należało zrobić, bo one wskazują, ile poseł turecki pysznił się z urzędowania swojego, wymagając honorów i okazałego przyjęcia. Zdaje się nawet, że żądał on, żeby tam pasza wyszedł na jego spotkanie, albowiem wyrazy *we muszarun ilejh dacha sade nefare yle getchudasyny li edźlil-istykbal*

irsal, *wspomiony rządca* i t. d. chęć jego pokazują. *Sade nefare yle*, *z kilku na prędce zebranymi sługami* i t. d. zupełnie tłómacz niezrozumiał, skoro mówi „z oddziałem żołnierzy,“ o żołnierzach niema tu wzmianki; a *kijaja* (nie „*kietchoda*“ ale *getchoda*, jak Persowie wymawiają, bo Turcy mówią zawsze *kijaja*, nie wtrąca się nigdy do wojska, i pilnuje tylko spraw paszałyku, jako zastępca paszy, jeśliby więc oddział wojska był wysłanym na spotkanie posła, to by mu był dowodził Juzbaszy albo Binbaszy, to jest: setnik albo półkownik, o czém Historiograf nie omieszkałby by był wspomnieć. — Niezawodnie w tym razie wyprawiono gromadę Czauszów, to jest posługaczy zwykle każdego paszę otaczających. Pasza nie tylko zastępcę swojego wysłał naprzeciw posła; bo zwłaszcza przed laty pięćdziesięciu każdy pasza w prowincyi swojéj uważał się za udzielnego władzcę. Dziś ich potęga znacznie się zniżyła. 3. „dał swego beszli-agę, dla przeprowadzenia na ziemię lehską,“ zkądże wiadomo, że tylko do granicy miał go odprowadzić, skoro tekst nic o tém nie mówi? „dał beszli agę,“ cóż to za tytuł? Jeśliby Turcy mieli urzędnika *beszli*, *piątaka*, musieliby także mieć i *dortla*, *uczlu*, *altyly*, *czwartaka*, *trojaka*, *szóstaka* i t. d. takich stopni w Turcyi nie znajdzie. Tłómacz powiada, że „to jest imie komisarza porty w Bukareście dla spraw muzułmańskich.“ Kommissarz mógł się tam znajdować, ale imie jego być musiało *Baszly Aga*, *główny Aga*, co dawniéj stanowiło pomiędzy Jańczarami wielki urząd, a dziś jeszcze daje się nadzorcom sług portowych. Aga w wioskach znaczy to samo co Wojt; w miastach nazywają Agę Wojewodą, *n. p. Galata wojewodasy*, *Agasy*, *Wojewoda Galaty* w Konstantynopolu, który bez apellacyi roztrząsa sprawy pieniężne i kłótnie wszelkiego rodzaju sądzi. Turcy wyraz *basz*, *głowa*, piszą czasami przez omyłkę *besz*, co znaczy pięć i tym sposobem w błąd

wprowadzają. 4. *Nazaretse mehelina nazyl oldu, wysiadł z nim do Nazarzecza.* Tu P. Sękowski opuścił imie własne; zaimek dzierzawczy *Nun* położony przy wyrazie *Mehell*, wskazuje oczywiście miejsce gdzie Mihmandar polski i poseł wysiedli, a gdybyśmy przypuścili, że to jest omyłka w druku czyli że litera *lam* niewyraźnie się odbiła, to i tak czytalibyśmy: *wysiadł z nim do lazaretu*, co niebyłoby wcale błędem. Wyrazu *Nazaretse* użył poseł turecki za rym i to w przypadku trzecim, kiedy mówi *On giun kadar nezorete iczun, tam przepędził dni 10. zmuszony czekać* i t. d. To jednak użycie przypadku trzeciego sprzeciwia się prawidłom gramatyki, poimiennik (postpositio) *iczun*, wymaga zawsze przypadku pierwszego, choć zwykle w tłomaczeniu kładzie się trzeci, *n. p. konszumur dost oldu, bizy aldatmak iczun, zaprzyjaźnił się z nami sąsiad, jedynie aby Nas oszukał; Jehmadży geldy, wurdu, oldurmek iczun, przybył rozbójnik i uderzył aby zabić!* 5. Niepotrzebnie tłómacz, czytał miasto Kijów *„kiwe"* w ów czas, kiedy turek wyraźnie napisał *kijowe.*

Miasto Kijów, złożone z dwóch naprzeciw siebie położonych twierdz, które podkop (mina) i rowy na około umacniają, oddane jest w zarząd znakomitemu generałowi i osadzone regularném wojskiem. We środku, zaczęli tam budować pałac królewski i mówili, że w ciągu roku miał być ukończony. Rzeka Uzy (Dniepr) płynie przy samém mieście, daléj idzie pod twierdzę Uzy (Odżakowa) i zdaje się, że wpada do morza czarnego.

Pierwszego dnia miesiąca dżumazyul 'achyr (26. lutego), wyjechał poseł z Kijowa i we dwa dni stanął w Kozłowdża, miejscu gdzie mieszkał Binbaszy kozacki (tysiącznik-półkownik.) — Ja przyidę Pana odwiedzić, jeśli mi pozwolisz siedzieć u siebie — kazał mu kozak powiedzieć; aże liczył się podobno do rzędu ludzi szacunku godnych w narodzie, dał mu poseł odpowiedz stósowną do jego żądania. Wszakże skoro przybył, trwała

krótko rozmowa tylko o potocznych rzeczach i wraz odszedł w stronę, z której przybył.

Na trzeci dzień miesiąca (28. lutego), przyciągnął poseł do *Bochna,* miasteczka w którém sami prawie grecy, z przyczyny, że miejsce jest bardzo handlowe, osiedli; okropny widok pogorzeliska przedstawił się oczom jego, w rzeczy saméj niedawno zdarzył się tam pożar, który zniszczył mnóstwo domów i sklepów z towarami; poźniéj w powrocie po odprawioném poselstwie widział już wszystko w porządku, miasto było znowu ludne i pięknie zabudowane — przenocowowszy blisko Bochny w domu rządowym, w następny dzień daléj wyruszył, zatrzymywał się tylko na stacyach pocztowych, które tam co pięć lub sześć godzin po drodze napotykał i jedenastego dnia tegoż miesiąca (10. Marca) dojechał do miasta Tughła, gdzie rozłożył się taborem. W mieście jest mnóstwo rękodzielni, założonych głównie, żeby wyrabiać broń, pęd wody koła w nich obraca. Zwinąwszy tabor, wyjechał daléj i w sześć dni potém zatrzymał się w mieście Moskow, które było dawniéj stolicą królów tego kraju. Rządzca miasta przyszedł mu natychmiast powinszować szczęśliwego przybycia do domu w którym się zatrzymał i kawą i słodyczami hojnie był przyjęty — zaproszony nawzajem przed wyjazdem do rządzcy, chociaż wymawiał się mocno, bo dręczył go bol żołądka, wymowić się niemógł żadną miarą, gdyż rządzca nalegał na niego, mówiąc choć raz tylko, bądź łaskaw, po prostu, bez świty przybądź i uczczciej mnie; więc udał się tam i cierpiący, napił się czaju i kawy i zawrócił zaraz uzdę do oberży, w której się był zatrzymał.

Wyruszywszy znowu w dalszą drogę, przybył do twierdzy Nougrad; która chociaż zburzona do szczętu w wojnie, w któréj ją Moskwa odebrała z rąk króla szwedzkiego, dziś znowu odbudowana została z cegły, i tworzy dosyć sporą forteczkę. Pod tém miastem płynie rzeka, którą na wyładowanych okrętach spławiają zboże i wszelkie inne produkta do Peterburgha.

P. Sękowski rozszerzył się w przypisku nad nazwą rzeki Dniepru i twierdzy Oczakowa, mówiąc, że to miejsce jasno dowodzi, że twierdza *Uzy* tylekroć wspominana, nie jest inna od téj, którą Oczakowem Rossyanie przezwali, chociaż D'Herbelot, nie wiem na jakiéj powadze, oznacza jéj za nazwisko tureckie, *Siahcouch* (sijah-kusz, t. j. „czarny ptak)." Wzięcie też twierdzy *Uzy* przez Rossyan u Wasyf-Efendego odpowiada zupełnie zdobyciu Oczakowa. Bibl. Orient v. Nieper. *Uzy suju*, w czystym dialekcie tureckim znaczy *Borysthenes* czyli *Dniepr; Uzy kel'e, twierdzę Oczaków*, tak nazywa tylko Meniński w dykcyonarzu swoim, wydanym w roku 1780. Lecz czy tak ją nazywano i przed tą epoką? czy Rossyanie nazwę wymyślili? czy też powtorzyli tylko z obcego języka dodając zakończenie ow? to jest jeszcze zapytanie. Imie *Odżak, focus, Domus, Caminus, prosapia* nadają turcy bez wyjątku każdej chałupie. W stepach przy zdobyciu twierdzy niechybnie pytać się musieli Rossyanie, jak się to miejsce zowie, bo go mienili różnemi tatarskiemi imionami; odpowiedziano im zapewne: „to jest Odżak ojców naszych!" Więc zachowali *Odżak* z dodatkiem tylko przyrostku *ów* i zrobiło się *Odżakow* a przez miększe wymawianie Oczaków. D'Herbelot w dziele swojém tak powiada o rzece Dnieprze i o Odżakowie Neper ou Denieper. Nom de la Rivière que les Grecs Modernes appellent Danapris. C'est le Borysthene, qui prend sa source dans la Lithuanie, traverse la Pologne et se décharge dans la Mer Noire à *Siahcouch*, Ville que l'on nomme vulgairement *Ocziacou.* Herbelot pisał w roku 1778. Na wschodzie każda bystro płynąca rzeka nazywaną bywa *kara-su, czarna woda*, każda wyższa góra nadmorska z daleka przestraszająca żeglarzów tureckich *kara-kusz, ptak czarny* — takich imion gór jest mnóstwo na Archipelagu — nie

dziw, że i na morzu czarném się znalazło; z tą różnicą, że imie perskie *Sijah, czarny* a nie tureckie *kara* poszło w użycie. Przed nazwaniem więc miasta *Odżak* wyniosłe z pobliża góry mogły nosić imie *Sijah-kusz*, czyli *kara-kusz*, *ptak czarny*. D'Herbelot znający rzecz lepiéj od P. Sękowskiego słusznie przytoczył stare imie Oczakowa dzisiajszego.

„*Kijow*," złożony jest z dwóch miast osobnych, otoczonych fosami i podkopami." Wyrazu *kel'e*, *Arx*, *castellum*, Turcy używają zawsze w prostém znaczeniu; albowiem, chcąc powiedzieć *miasto*, kładą *Szehr*, *Beled*, *Beldet;* nie można więc tłómaczyć „Kijow złożony jest z dwóch miast."

Bary sadedże teszryf idyn diju, *mówiąc*, *a choć raz jeden*, *bądź łaskaw*, *po prostu i t. d.* Wszystko opuścił tłómacz z przyczyny, że niezrozumiał wyrazu *sadedże*, *po prostu*, *bez swity*.

Czaj we Kakwe tenawulinden sonra, *napił się Czaju i kawy*, (właściwie *zakąsił kawą*) jest po turecku prawdziwie z Ruska powiedziane. *Kel'ei merkumey Moskow Iswedż kraly iedynden bilmuharybe nez'ne idyp tughla yle bina olunmusz*, *przybyłem do twierdzy Nougrud*, *ktora i t. d.* P. Sękowski tłomaczy: „Newhrad, które niegdyś carowie moskiewscy na Szwedach zdobyli," tu o Carach niema mowy i nie było powodu szydzić w przypisku z Posła tureckiego, że nieznał historyi; zwłaszcza, że tylko to zapisywał co od Rossyan w przejeździe posłyszał.

Szóstego dnia miesiąca redżeba (31. Marca) opuścił to Miasto i ruszył dalej — dziesiątego zaś (4. Kwietnia) stanął w okolicy Monasteru zwanego „budową króla Piotra." Nazajutrz, przywiedziono tam konie wierzchowe ozdobione rzędami na sposób Franków, dla ośmnastu czokadarów (*szatnych posła*) — karetę dworską dla samego posła, karetę pierwszego Ministra dla kijai, zaś dla przybocznéj świty i służby posła przybyła kareta

drugiego ministra wraz z karetami wszystkich generałów dworskich. — Poseł wdział na siebie szubę wezyrską, okrył głowę turbanem Chorasańskim, wziął zaprosiciela dworskiego (*mistrza ceremonii*) z sobą do pojazdu i wyruszył wprost ku serajowi. Postępował on wśród podwojnych szeregów swoich szatnych, uzbrojonych w srebro oprawne obosieczne miecze; poprzedzali go dworscy słudzy z powodowemi końmi w ręku i laufry, którzy z przodu i z tyłu towarzyszą zwykle Monarsze (*imperatorowéj*), ile razy ten wyjeżdża. Tym sposobem dojechał do samego Peterburgha, gdzie z drugiéj strony rzeki wysiadł do domu, który od uprzedniéj nocy był dla niego przygotowany. W następny dzień z rana udał się do dworu pierwszego ministra wraz z wysłańcem, który go przybył zaprosić; spotkany przez Syrrkiatyba (pierwszego sekretarza) u strzemiennego kamienia wprowadzony był do sali przyjęty stojąco i wybadywany o stanie zdrowia swojego. W ów czas Derwysz - Efendy oddał ministrowi z najwyższém uszanowaniem list Wezyrski, napił się czaju i kawy jak zwyczaj wymagał, rozmawiał czas jakiś, potém go grzecznie pożegnał i zaraz pojechał do drugiego ministra. Tam z równą uprzejmością przyjęty został; oświadczyli sobie w długiéj rozmowie i w słowach grzecznych zobopolną przyjaźń; poczém poseł powrócił znowu w pojeździe do brzegu rzeki, zstąpił do koika i przepłynął na drugą stronę. — Dwudziestego drugiego dnia miesiąca redżeba (16. Kwietnia), zjawił się i od Imperaturyczy zaprosiciel na posłuchanie dla wręczenia jéj Sułtańskiego listu. Nasz poseł uszykował poczet wspaniały, kazał nieść przy sobie z najwyższém uszanowaniem list błogosławiony swojemu kijaja i zwolna wymierzonym krokiem poważnie postępując, dążył z okazałością ku Serajowi. Tam chwilę w gościnnym pokoju poczekawszy, wprowadzony został z całym pocztem swoim do Sali, w któréj stała imperaturycza na miejscu podwyższoném o trzy stopnie; gromada dorodnych kobiet i mężczyzn otaczała ją po lewéj i po prawéj stronie. Poseł oparł prawą rękę o głowę,

wzniósł list cesarski do góry, zbliżył się do niéj i tak przemówił: „Najpotężniejszy i Największy Sułtan Osman Syn Mustafy-Chana pan mój najmiłościwszy przysyła Wam szanowna i wspaniała imperaturyczo Rossyjska błogosławiony list, którym oznajmuje wstąpienie swoje na tron Sułtański!“ Po tych słowach wręczył jéj list a ona go przyjąwszy ze czcią najwyższą położyła przy sobie na tronie pokrytym złotogłowem. Po dwóch minutach rozmowy za pośrednictwem terdżumana odstąpił od tronu i wraz podano zakąsić słodyczy przygotowanych wedle zwyczaju dla ugoszczenia go w domu Imperaturyczy. Następnie poseł wrócił do mieszkania swojego.“

Tutaj tłómacz takie popełnił błędy: 1. mówi: „i we cztery doby stanął w bliskości téj stolicy, we wsi założonej od Cara, imieniem Petro, który w niej także zbudował monaster“, jest to powiedziano historycznie, a nie podług tekstu tureckiego, w którym pisarz Carów królami zowie. 2. znajdujemy u P. S. w przypisku: „Turcy nazywają Piotra wielkiego Deli Petrun, Petrus furiosus“, tak nie jest w tureckim języku niema litery *p*; używa się jéj tylko w wyrazach z Perskiego wziętych. Turcy zwą cara nie *Deli petrun*, ale *deli bedros*, Strenuus, profidus, stultus, expeditus manu, audax, prodigus animo. 3. W innym przypisku czytamy: Zawój chorasanski, *destari chorasani*, jest to kołpak sukienny, pikowany, w górze bardzo szeroki, nad czołem zaś okręcony kilka razy muślinem, zwinionym w wałek.“ Opis P. Sękowskiego stosuje się tylko do ubioru głowy dawniejszych Jańczarow, Derwyszow, ulemów i w ogóle duchownych. Wezyrowie inaczéj się nosili. Oni głowę okrywali kołpaczkami sukiennemi lub flanelowemi pikowanemi albo na zewnątrz obwiniętemi we wspaniałe szale skręcone nieco i zwisłe fałdami na twarz, co im piękną dawało postać. Po wyniszczeniu Jańczarow nastała ogólna przemiana ubioru głowy: fessy czerwone z jedwabnemi błękitnemi kutasami w całym nastały naro-

dzię na miejsce zawojów; duchownym zawoje nosić wolno, i to nie z szalów, ale z białego muślinnu. W Syryi Frankowie trzymają się dawnego wschodniego zwyczaju i dotąd pyszne z szalów zawoje noszą, Turcy szczególniéj o podal od stolicy zamieszkali gniewają się na rząd za zniesienie zawojów; mówią, że rząd zfranczał, zgiaurzał. Wielu stroi się na upór po dawnemu, zwłaszcza, gdy chce dokuczyć Raijom i Frankom. Nie miło spotkać w podróży przystrojonego w zawoj dawniejszy Turka, złowróżby strój ten często gwałt zapowiada. 4. tłómaczy P. Sękowski: „Pojazd Derwysz-Efendego otaczali z obu stron jego szatni, ozdobieni srebrnemi kindżałami i laufry cesarzowéj, którzy w czasie jéj przejażdżki, biegną zwyczajnie z przodu i z tyłu karety.“ ***Sym ghudarety, gladius anceps, lateri ephippii alligari solitus*** — o kindżałach w tekscie nie ma wzmianki jak równie o cesarzowéj i jéj karecie. Sto lat temu w Turcyi noszono tylko obosieczne miecze, późniéj nastały jatagany, zwłaszcza dla piechoty. Jatagan jest to nóż tak długi jak pałasz zwykle spoczywający w pochwie śrebrnéj lub posrebrzanej; rękojeść ma z kości słoniowéj albo mamutowéj; pierwéj bywał przeznaczony do ucinania głów jeńcom wojennym, dziś służy kawasom, to jest, sługom konsulów i posłów. 5. mówi daléj tłómacz: „spotkany został od sekretarza na ganku.“ — To nie dosłownie — prawda, że ***strzemienny kamień*** nie w pokojach, ale przed sienią u Turków, zwłaszcza u Magnatów się znajduje; wszakże należało tu zachować szczegół, który maluje zwyczaje wschodu, gdzie z przyczyny krótkich strzemion używać muszą kamienia albo stołka, by wsiąść zręczniéj na konia. W Konstantynopolu każdy meczet ma u drzwi kamień strzemienny, przeznaczony jedynie dla sułtana, który w piątki konno z przepisu religii meczety odwiedzać musi. 6. Napotykamy następnie: „imperatorowa, otoczona licznym mężczyzn i

niewiast orszakiem, stała na podnóżu, złożonem ze trzech stopni, mając głowę podpartą prawą ręką.“ Konstrukcya gramatyki wskazuje, że to poseł oparł prawą rękę na swéj głowie, wznosząc do góry list cesarski — zwyczaj turecki tego wymagał; Turcy i dzisiaj dla okazania wielkiego szacunku osobie, z którą mowią, kładą na piersiach albo na głowie prawą rękę, powtarzając *basz ustune, głowa na karku moim!* co znaczy: jeśli nie wykonam wiernie twego rozkazu, głowę moją strącić możesz pod nogi. 7. U P. S. poseł tak kończy mowę do cesarzowéj: imperatorowo! niniejszym listem, stwierdzającym zobopolną przyjaźń i dobre porozumienie obojga mocarstw, szczęśliwe swe na tron wstąpienie oznajmić żąda,“ — o tém wszystkiém nie wspomina kronika turecka. —

Na miejscu, gdzie dziś Peterburgh stoi, były niegdyś las i bagno; lecz z przyczyny płynącéj ze środka kraju rzeki Newą zwanéj, szerokiéj jak Dunaj, podobało się położenie jednemu ich królowi i postanowił wybudować tam miasto. W tym celu, przykazawszy wytrzebić najprzód las aż do gruntu, zawalił potém i wzmocnił gruzem miejsca grzązkie, pobudował frontun do rzeki i po obydwu jéj brzegach domy, których dachy pokrył gdzieniegdzie blachą a gdzieniegdzie dachowką i po nad samą wodą wystawił małą Tersanę (warsztat do budowania okrętów), gdzie budują dziś kaiki już dla króla, już dla publiczności. Rzeka Newa wpada do Morza Baltyckiego, snują się też na niéj z wodą i pod wodę okręta przybywające z państw sąsiednich. — Siła kry niepozwala utrzymywać mostu zimową porą; przepływa się więc z jednéj na drugą stronę kaikami, a skoro lód wodę zetnie przechodzi się piechotą. — W porze letniéj z troskliwości, żeby sprawy ludzi pieszych i jezdnych snadniéj się załatwiały, stawiają most na Dunbazach (dubazach, łyżwach); wtedy pobiera się po dwa *akcze* od pieszych a po cztery od wozów, żeby tym sposobem pokryć podjęte wydatki. *Wiadomo, że posło-*

wie wysokiéj porty zwykli tu bawić nie więcéj jak dni pięćdziesiąt; a my właśnie tak długo zobawiliśmy, rzekł nasz poseł do Mihmandara swojego; słowa te natychmiast doszły do uszu imperaturyczy. *Wszakże Pan Poseł nie widział jeszcze miłych okolic i zabaw Peterburgha! niechże się tak nie spieszy!* miała ona odrzec; co mu zaraz doniesiono, dając uczuć, że na to zgodzić się powinien. W kilka dni, zaproszony został do dworu na zabawę nocną. Na tę zabawę wszyscy zazwyczaj kryją twarze w maski tak, żeby ich nikt nie poznał, najwięcéj zbiera się rozkochanych ze swojemi damami, zapewne w celu umowienia się zobopólnie o miejsce spotkania się skrycie tak, żeby żaden zawistny niemógł tego dostrzedz. Już imperaturycza z ministrami i z powiernikami swemi znajdowała się na sali, kiedy wszedł nasz poseł; już chałasowała i brzmiała na ich sposób urządzona muzyka; już pląsali mężczyzni pomięszani razem z kobietami wszyscy mając pokryte twarze, wedle arabskiego przysłowia *ludzie zazwyczaj skaczą, gdy się znajdują milemi sobie; a niedźwiedź, kiedy jest wolny na górach.* Widział poseł na własne oczy, jak wykręcała się razem z wszystkimi imperaturycza, tańcując, pozwalała sobie wolnych ruchów i postać jéj w tej chwili była zachwycająca. W końcu podeszła i ku niemu, zdięła maskę z twarzy, przemówiła słów kilka odnoszących się do jego podróży i, odłożywszy na bok wszelką wyniosłość, *niechże dadzą obejrzeć Panu Posłowi moje pokoje!* rzekła do ludzi otaczających i ci go zaraz oprowadzać poczęli. Skoro przeszedł przez wiele pokojów i nawet przez sypialnią imperaturyczy, wprowadzono go do sali, w któréj stoły pokryte były słodyczami i różném jadłem, tam ugoszczono go hojnie czajem, kawą i wszystkiém tém, co było do przekąszenia przygotowane, aż o świcie ukończył się bal, który jest u nich zwyczajną rzeczą i rozeszli się wszyscy do domów swoich.

W kilka dni potém zaproszono go znowu do pałacu imperaturyczy położonego nad brzegiem Newy o sześć godzin drogi za miastem; był zamiar popłynąć tam w kai-

kach; ale z obawy burzy i wałów, przygotowano dwa galiony w rodzaju noszych *czekdyrme;* do jednego wszedł sam Poseł a do drugiego kijaja i reszta świty poselstwa. W godzinę czy dwie wysiedli na brzegu miejsca, gdzie znajdują się warsztaty do budowana okrętów i podjechały zaraz karety, które ich zawiozły do jednéj wioski na noc dla wypoczynku. Nazajutrz, gdy poseł oglądał warsztaty, zobaczył do dwudziestu pięciu galionów i zapytał: *Jakiż z nich użytek? Wypływamy w nich odrzekli na Morze Baltyskie, a z tamtąd aż na Ocean, dla wprawy majtków naszych w sztuce żeglarskiéj.* Na drugi dzień przybyli do pałacu imperaturyczy: stoi on na wywyższoném miejscu i ma sad w dole. Tam widział poseł na własne oczy, jak posłuszna sztuce woda bije w górę na wysokość chłopa gra z szumem w różnych kierunkach i tworzy mnogie jeziorka, na których pływają kaczki, gęsi i psy niby naturalne; te krążą udają prawdziwe głosy i gonią za sobą tak właśnie, jak gdyby się chciały doścignąć i schwycić. Prócz tej sztuki pokazano mu jeszcze i inne godne podziwienia rzeczy, po czém wrócili do miasta. Poseł przekonał się także dotykalnie, że armaty, w które fortece i inne miejsca uzbrojono jedne są żelazne, drugie spiżowe, i tych i tamtych nie wiele zauważał.

Seraje Dworskie są z drzewa budowane; mają wielkie okna a wewnątrz ich ściany wszędzie pokryte malowanym papierem z fabryk polskich. Jedne tylko sypialnie imperaturyczy obite są i przyozdobione jedwabną damasceńską materją, w ogólności sufity znalazł obrzucone wapnem; ściany zaś od góry do dołu są gołe, równe i gładkie. Dywanów i kobiercow na podłogach nie ma u Rossyan zupełnie. Siadają na wygodnych krzesłach a mają jeszcze wygodniejsze i obszerniejsze, w których się mieszszą razem z kobietami, pieszcząc się tam z niemi, jak mu to za pewną rzecz powiedziano.

Sześćdziesiątego i piątego dnia od przybycia swego do Peterburgha wezwany został znowu poseł i zawiedziony z wielką okazałością do pałacu imperaturyczy

dla odebrania odpowiedzi na list sułtański; a w dziesięć dni późniéj, dostawszy także list od pierwszego ministra, wyruszył w drogę ku porcie szczęśliwości. W czterdzieści i dwa dni stanął na granicy naszéj; dojechał do Benderu i ztamtąd po dwudziestu dniach podróży wjechał do Istambułu. Z Benderu do Kijowa naliczył on przestrzeni drogi sto i dziesięć godzin, z Kijowa do Moskwy sto ośmdziesiąt i jednę, z Moskwy do Peterburgha sto pięćdziesiąt i to jest wszystko, co nam opisał i podał w raporcie Derwysz-Mohemmed-Efendy.

W całym okresie P. Sękowski przybrał ton pochlebny, mniej dbając o ścisłość przekładu. *Bir szehr binasyny tesmim ejledy, postanowił wybudować miasto;* nie ma tu nic o „stolicy“ ani o „odwiecznych“ lasach. Daléj mówi tłómacz: „zbudował niewielką admiralicyą, i dostateczną ilość łodzi dla ułatwienia związków między dwoma brzegami.“ Wyrazy: *krala we saire kaikler insza ider oldular* znaczą tylko: *budują kaiki, już dla króla* i t. d. Kaikami nazywają łódki bardzo małe na dwie najwięcéj trzy osoby, starannie z orzechowego drzewa wyciosane; pospolicie nie ma w nich ławek do siedzenia i są bardzo wywrotne. Robią je za zwyczaj w porcie Konstantynopola, (złotym rogu) i na brzegach Mudanii; w Tersane zaś budują same wielkie okręta. Otóż dziwiło posła tureckiego, że na takim warsztacie drobne się rzeczy robiły. Czytamy daléj: „Ten ostatni środek jest nieodbicie tu potrzebny w jesieni i na wiosnę, kiedy nawały śniegu i lodów, mostów na wodzie niedozwalają.“ W tekscie znajdujemy tylko wyraz arabski *Szyta, Hiems, zima.* W dalszym ciągu napotykamy: „piészy płaci mostowego dwa grosze, pojazd zaś cztery.“ Mały pieniążek *akcze*, *aspra* nie jest to samo co grosz polski; albowiem czterdzieści asprów stanowiło i dziś stanowi jeden piastr turecki, który wynosi dwanaście groszy polskich bez wątpienia, już sam poseł omylił się, zamieniając jedne pieniądze na

drugie. W następstwie jest: „muzycy podług prawideł wiadoméj ich harmonii, grali na różnych instrumentach i wrzaskliwie śpiewali, osoby zaś płci obojéj zaczęły tańczyć z wielką prędkością i zabawnie wyrabiać nogami.“ Wyraz ***Czaghyrmak*** wrzeszczeć, nieznaczył nigdy i nie znaczy ***śpiewać;*** o wyrabianiu zaś prędko nogami tekst nie mówi. Wzmianka o wrzaskliwości pokazuje, iż niepodobała się muzyka europejska posłowi tureckiemu; ona go zagłuszyła tonami harmonii, jakiéj nie znał i nie zna do tych czas wschód cały. ***Kemancza,*** rodzaj skrzypiec tureckich ze czterma zwyczajnemi i ze czterma drócianemi stronami wydaje dla nich najmilsze tony, kiedy uszy Europejczyka drażnią jęki tego instrumentu. Paszowie znudzeni europejską wojskową muzyką, która przygrywa w obec Sułtana, często w swoich namiotach przykazują grać sobie na kamanczy piosnki narodowe. W pomniéjszych miastach Turcyi nie raz tłum ludu obsiada żebraka z ***kamanczą*** o jednéj lecz grubéj stronie, a żebrak instrument osadzony na sporym kiju trzymając między kolanami tak jak basetlę, opiewa na całe gardło miłostki słowika i róży albo nieszczęścia kochanka oślepionego od blasku pełni Xiężyca, czasem tylko dla wtóru wodząc smyczkiem po stronie. Słuchacze ciągle wzdychają, półgłosem tylko wołając: ***Aman! Aman!*** pięknie! cudnie! bosko! — Daléj jest: „Poseł utrzymuje, że widział na własne oczy jak imperatorowa dla zagrzania wesołości zgromadzonych sama wraz z innymi tańcowała z wielkim wdziękiem i układnością.“ Wyrazy ***Naz, dissimulatio et blanda retinentia, gesticulatio amorosa, ichtyzaz, agitatio, exultatio,*** co innego mówią. — Mówi potém: Nazajutrz poszli oglądać port, w którym widzieli 25 wojennych okrętów, te, jak im powiadali tamtejsi urzędnicy, wychodzą na Morze Baltyckie i na Ocean, jedynie dla ćwiczenia w morskiéj rzeczy marynarzow rossyjskich.“ — ***Z Kalian, Navis actnaria,***

podobnych do czekdyrme, to jest do wielkich batów na wschodzie, które wyżéj sam P. Sękowski nazwał „*Sakolewami*“ nie można zrobić *wojennych okrętów.* — Czytamy następnie: „Na trzeci dzień przybyli do pałacu imperatorowéj, zbudowanego na wzgórku, u spodu którego rozciąga się piękny ogród, napełniony wielą nader dziwnewi dziełami sztuki. Ma on liczne sadzawki, z których jedne są ozdobione dużemi wytryskami, w tych różne instrumenta muzyczne grają za pomocą wody najpiękniéjsze synfonie.“ Jakaż tu przesada! o synfoniach nic tekst nie mówi; bo turcy i pojęcia o nich nie mają, — wyrazu zaś *Sazler* nie można brać w znaczeuiu instrumentów, oznacza on tylko grę wody gwałtownie z fontanny wychodzącéj. W przypisku czytamy: „Obicia malowane w różne wizerunki turcy „polskim papierem“ *leh kiahady* nazywają: nie wiem jednak, czy kiedykolwiek *Polska* była sławną z tego rodu rękodzieł.“

Nie tylko w Konstantynopolu, lecz i na całym Lewańcie malowany papier polski do dziś dnia jest ceniony w starych domach a zwłaszcza u Magnatów; w Kioszkach stawianych nad wodą widzieć nie raz można tę ozdobę wedle dawnego smaku. Chociaż niektóre domy przeszły w posiadłość Greków i Ormian obicia papierowe z poszanowaniem są zachowywane. Ormianin Okulski, od pięćdziesięciu lat przeszło osiadły w *Ortakioj* nad Bosforem posiada dom niegdyś Wezyrski, w którym wszystkie prawie pokoje mają papierowe obicia. Są ozdobione rzeźbą z drzewa orzechowego. Cele popów i ściany bibliotek w dwudziestu czterech klasztorach góry *Athos* obite są polskim papierem, który i w Macedonii spotykać się daje. Podróżnym mówią: „to jest *leh kiahady.*“ W Jerozolimie z powodu zatargów między katolikami i Grekami i rabunków Arabskich nie raz pilnie chowają kosztowności klasztoru *Terra Santa.* W r. 1839 przeor

imieniem *Perpetuo di Solero*, który wielce się zasłużył, łagodząc umysły, i spokojniejsze sprowadził czasy korzystając z chwili wytchnienia, kazał wyłamać ścianę od podziemnego lochu, żeby obejrzeć skarby w złocie i w kosztownych kamieniach, odwieczne podarki Chrześciańskich Monarchów Europy. Piszący te rzeczy był temu przytomny i spostrzegł, że ściany podziemia zupełnie suche oblepione tam były grubym kolorowym papierem „to *leh werek* t. j. papier polski“ powiedział mu szanowny i uczony kapucyn.

Rozbiór kilku dzieł z lekkiéj literatury.

Powieści nieboszczyka Pantofla wybrane i ogłoszone przez Eleonorę Sztyrmer, Wilno u Zawadzkiego 1844. Tomów 2. Pod włoskiem niebem fantazya J. Kraszewskiego, Lipsk 1845. u Bobrowicza. Doktor Panteusz w przemianach rękopis ze skrzyni ś. p. Przybysława Dyamentowskiego Stolnika Urzędowskiego p. Johna of Dycalp Lipsk 1845 u Bobrowicza. Obrazy p. Wincentego Pola Lwów 1845. u Milikowskiego. Poezye przez F. L. Poznań 1845 u Żupańskiego.

Powieści robią wiele złego, odejmują bowiem smak do nauki, obudzają niechęć dusz młodych ku rzeczywistemu życiu i ckliwą czułość z uszczerbkiem tęgości moralnéj rozdrażniają; że jednak stały się powszedniem chlebem czytających, że wpływ ich na umysły ogólnie jest wielki, większy jak się może z pierwszego widzenia wydawać, uważamy za powinność krytyki przypominać coraz sposoby, jakiemi, nie szkodę ale pożytek przynosząc, zasługiwałyby na pomieszczenie między dziełami prawdziwéj literatury. Dzisiaj tak dalece powieściopisarstwo upadło, że stało się rozpustą umysłu i rzemiosłem, albo się zmieniło w otwarte pole próby dla niedojrzałych zdolności, nieczujących się na sile do twardszych zapasów;

rzadko zdarza się napotkać utwory tak jak **Powieści nieboszczyka Pantofla** pod obsłoną lekkiéj formy kryjące myśl pełną i przetrawioną, nacechowane bystrym sądem, opartym na bliższém rozpatrzeniu się w chorobach serca ludzkiego i głowy ludzkiéj. Powieści Pani Sztyrmer nie można odrzucać z lekceważeniem, do jakiego każdy umysł poważniejszy usposobienie w sobie czuje ku całéj téj gałęzi piśmiennictwa; jesteśmy przekonani, że kto je tylko przeczyta rzetelną korzyść odniesie; wszakże zalety, jakiemi błyszczą nie zaspokojają jeszcze zupełnie naszéj wymagalności. Wedle nas nie dosyć głębokiéj znajomości ludzi, zdolności do chwytania odcieni i godzenia przeciwieństw, nie dosyć żywéj wyobraźni, potrzeba jeszcze (i tu użyjemy wyrazów samejże Pani Sztyrmer), żeby każda powieść była prawdziwa pożyteczna i piękna, to jest: żeby, przedstawiając wiernie życie człowieka, dawała razem wysoki punkt widzenia i, dopełniając posłannictwo wszelkiéj sztuki i wszelkiéj literatury, kształciła myśl i szlachetne tylko obudzała popędy. —

Powieściopisarz nie jest kronikarzem w znaczeniu, jakie zwykle świat do tego wyrazu przywięzuje; pęta rzeczywistości pojmowanéj pospolicie nie krępują go tak dalece, żeby musiał wszystkie mierności i brudy dobitnie malować. Kto się zastanowi nad prawdziwém powołaniem historyka a w wielkich historyków się wczyta, przyzna niezawodnie, że nawet tam, gdzie koléj wypadków zdaje się skrzydła natchnienia obciążać, albo gdzie utarte przesądy co chwila krok tamują, podobna jest i przyzwoita wznosić charaktery do wysokości nieśmiertelnych pierwotworów. Historyk z uczciwego stanowiska na rzeczy świata zapatrujący się, w najdrobniejszéj sprawie ludzkiéj uchwyciwszy odbicie wiecznéj walki złego i dobrego, z całém współczuciem przywiąże się do usiłowań mozolącéj się ku lepszemu woli ludzkiéj i wzrok myśli swojéj prędzéj na zwycięztwa moralne jak na upadki obróci. Rozpościeranie występków, wad i ułomności niepotrzebnie odbiera duszom wybranym przej-

rzystą niewiadomość złego, albo zarazą przykładu choroby umysłu i serca draźni, każda prawdziwa nauka jest przedewszystkiém niepokalaną pełną czystości niewinnéj. Jeślić przeto łacno jest historykowi, nie narażając sumienności w czystéj sferze zostać, łacniéj to jeszcze przychodzi piszącemu powieści, który ma więcéj od historyka swobody, sam wedle woli dobiera osób, sam wypadki układa i w całéj pracy swojéj nie na prawdziwość istotną ale na prawdopodobieństwo wydarzeń ma tylko obowiązek baczyć. Obszar prawdopodobieństwa jest szeroki, można na nim równie materializm jak duchowość pomieścić; my w każdym razie, uważając prawdę za rzecz bezwzględnie istniejącą, wyższe znaczenie prawdopodobieństwu dajemy. Bez prawdopodobieństwa najwznioślejsze kształty przez wyobraźnią wywołane nie miałyby z rzeczami świata tego pokrewieństwa, które jedynie żywsze u nas zajęcie obudzić jest w stanie; prawdopodobieństwo jest ogniwem łączącém każde natchnienie z jego urzeczywistnieniem. Tak określamy pierwszy warunek dobréj powieści prawdziwością. Przejdźmy teraz do innéj strony przedmiotu.

Na świecie spotykamy dwa ludzi rodzaje. Jedni wierzą w uczciwość powszechną i przewagę dobrych skłonności, na bliźnich patrzą z lepszéj strony, przeciw rozstrojeniom, jakich w stósunkach ze światem doznają, uzbrojeni są zawsze w pobłażanie, nie to, co pochodzi z braku sądu i charakteru, lekkości albo obojętności, ale owo pobłażanie żałosne czyli raczéj wyrozumiałość, którą daje prawdziwa znajomość serca ludzkiego, sumienne zastanowienie się nad nędzami własnemi i rzeczywista wewnętrzna pokora. Drugich duma życia, niepokój, ckliwość, czasem suchość powodują do sądzenia innych surowo i tłómaczenia na złe każdéj rzeczy. Ci ostatni zwykle sami się robią propagatorami albo wychodzą na apostołów cenionego w świecie doświadczenia: są oni przekonani, że prawdziwie człowieka pojęli, kiedy czyny jego wyłożyli za pomocą złych pobudek i mają wielki pociąg do leczenia ludzi ze złudzeń. Dotknęli się tylko brudnej

skorupy istoty człowieczéj, tę znają w każdéj krcie i w każdym proszku, ale, co się u spodu dzieje, nie wiedzą, bo im brak zmysłu do przejrzenia wewnętrznego życia każdéj duszy nieśmiertelnéj. To, co zowią złudzeniami, jest właśnie wiarą szlachetną w innych, która największą pobudkę do dobrego stanowi. Złudzenia takie łatwo zerwać i jak zżółkłe liście z wiatrem na wodę rzucić, nieszczęściem prąd niecofnięty w biegu najczęściéj razem z nimi zaufanie do życia i do obowiązku unosi. Ogromna większość nie ma zapewne ani wysokiéj miłości jednych ani śmiałéj ironii drugich, ogromna większość skłonnaby była do ufności, gdyby nie obawa zawodu będąca cechą dusz miernych a pochodząca z najgrubszéj miłości własnéj. Trzeba więc z tego ogólnego usposobienia korzystać: im kto wyższą wziął zdolność w podziale, im się z wyższego stanowiska na świat zapatruje, tém ma większą odpowiedzialność, jeśli zamiast godzenia ludzi z życiem, zamiast wlewania w nich wzajemnéj wiary i dodawania odwagi do dobrego karmi ich gorzkiém doświadczeniem, które jest zawsze w pewnéj mierze zemstą za zawiedzione nadzieje samolubnego szczęścia na ziemi. Prawdziwe doświadczenie wyrabia się zapewne wśród goryczy żalów i oburzeń z doznanych zawodów, ale wtedy dopiero nabiera ono wartości istotnéj i innym służyć może, kiedy się stało spokojném i pogodném, tak jak jest zawsze pogodne przebaczenie i poświęcenie siebie.

Użyteczność powieści obyczajowéj temby wyraźniejsza być mogła, że w niéj zwykle szukamy jak w zwierciedle uczuć i myśli własnych, tak jak chory doczytuje się ciekawie znamion choroby w dziełach lekarskich; poczciwsze natury chciałyby wyssać z każdéj książki jak pszczoła z każdego kwiatu kilka dobrych słów mogących dać wzmocnienie i odpowiedź na wątpliwości, jakie co chwila słabość własna nastręcza a świat w umyśle obudza. Te dobre natury stanowią większość ludzkości: kto pisze, winien je mieć na szczególnym względzie.

Powieści powinny w pewnéj mierze kształcić człowieka, ale pierwéj muszą się wyzwolić z owych więzów zmysłowości i lekkich wyobrażeń, które z nich nędzny a godzien pogardy towar zrobiły. Od ludzi i od książek mamy prawo żądać, żeby nas robili lepszymi. Stósunek przyjacielski, z którego nie wynika wzajemna poprawa i korzyść moralna lub umysłowa nie jest godziwy, książka, któréj czytanie nie prowadzi do dobrych myśli i nie wzmacnia uczciwych postanowień, nie odpowiada warunkom, pod jakiemi wolno myśli i uczucia cudze przyjmować. Literatura, jeśli niema na celu unosić człowieka, rzemiosłem się staje.

Ogólne te uwagi nie stósują się wyłącznie do Pani Sztyrmer, wszakże tém chętniéj je umieszczamy, że nam się trudno zdarza mieć do czynienia z równię wysokim umysłem. Błędy znakomitego dzieła są stokroć lepszym przykładem jak błache zalety nędznéj ramoty.

W Pani Sztyrmer uderza nas szczególny dualizm; złe i dobre istnieje u niéj przedmiotowo, równoważy się prawie. Fenomen podobny tém sobie tylko wytłómaczyć możemy, że natchnienie u niéj więcéj z głowy jak z serca pochodzi. Zwrot umysłu i ochota wewnętrzna skłaniają do ironii, spokojna i sumienna rozwaga na pamięć jéj przywodzi prawa miłości. Wspomnimy nawiasem, że u nas w Polsce całkowita ironia nigdzie się nie znajduje, może to pochodzi z braku zupełnych charakterów, może z tego, że dziś wszyscy piszący są pod wpływem żywo dźwięczącéj nuty gorących pamiątek; bądź co bądź u nas Byron jest niepodobny a wszyscy Byroniści kończą na tém, że się prędzéj czy późniéj obmywają w chrzcie prostych i prawdziwych uczuć narodowych. Równie trudno jak do ironii wznieść się pisarzom naszym do skeptycyzmu a nawet do jego pojęcia. Pomimo swojego przedmiotowego usposobienia, które zkądinąd znamionuje i znamionowało nie jeden wysoki talent, Pani Sztyrmer żadnego charakteru skeptycznego utrzymać nie zdołała. Doktor w powieści T r u p i a G ł ó w k a, Karól w D u s z y w s u c h o t a c h koń-

czą jeden w klasztorze, drugi, przyznając, że błądził. Niechaj nikt nie myśli, że autorka z własnéj woli pod koniec każdego utworu na kolana ich rzuciła, zrozumiała ona, że Polski charakter nie wytrzyma za długiego wyprężenia i że niewiara zupełna światłem pożyczaném z romansów francuzkich bohaterówby jéj oświeciła. Rodzaj skeptycyzmu, jaki nas w Pani Sztyrmer uderza, zbliża się najwięcéj do rodzaju maxym La Rochefoucault: w głębi pochodzi on z tego przekonania, że, tłómacząc jak najgorzéj czynności ludzkie, szczególnie wykładając je samolubstwem, zawsze najprędzéj w prawdę ugodzić można.

Religia w powieściach Pani Sztyrmer gra bardzo poważną rolę, jéj przepisy wszędzie są wspominane z uszanowaniem; jéj obrzędy otoczone prostą, prawdziwą poezyą; co chwila napotkać można przytoczenia i piękne przytoczenia z ksiąg świętych. Dla czegóż to wszystko mało do nas przemawia? dla czegóż nie porusza nas do głębi? Oto w autorze widzimy tylko rozumowe uznanie religii, miłości, choć tak dużo o niéj mówi, choć we wstępie do D u s z y w S u c h o t a c h wszystkie najpiękniejsze zdania o miłości z Ewangelii przytoczyła, nigdzie nie czuć, myśmy jéj przynajmniéj nie uczuli. Usposobieniu takiemu nie dziwimy się wcale; w naszych czasach często się zdarza napotykać przyznanie rozumowe, bardzo rzadko miłość prawdziwą, jest to choroba wieku; aleź zawsze postąpiliśmy i już jesteśmy daleko za tą obojętnością, z którą niegdyś tak wymownie Lamennais walczył. —

W ogóle w powieściach Pani Sztyrmer co krok są piękności pierwszego rzędu, wiele w nich prawdziwéj siły i jędrności, co chwila myśl niezwyczajna czytającego uderza; delikatne spostrzeżenia, wyrazy szczęśliwe roją się i wywięzują jedne z drugich; ale brak jakiegoś ognia wewnętrznego, brak szczerego zapału. Jest coś przymuszonego w malowaniu uczuć, chyba że autorka porusza humorystyczną stronę; humorystyka i to pra-

wdziwa, pół wesoła pół smutna pomimo usterek dobrego smaku jest u niéj nieporównana.

Zaczęliśmy od zarzutów nie bez pewnéj obawy, żeby sąd nasz za surowo się nie odezwał wśród chóru pochwał ogólnych; wszakże ufamy, że umysł tak wysoki autorki nawet w ostréj krytyce uszanowanie odgadnie.

Z całego zbioru najwięcéj nas uderzyła Dusza w Suchotach, Karól jest najdoskonalszém odbiciem typu, który się wszędzie w powieściach Pani Sztyrmer napotyka a który najwięcéj pokrewieństwa z naturą jéj umysłu zdradzać się zdaje. Karól jest najzupełniéj pojęty, chociaż charakter jego znajdujemy podniesiony do potęgi wyjątkowéj; dla wielu więc powodów najobszerniéj zastanowimy się nad Duszą w Suchotach.

Powieść od razu zajęcie obudza. Ksawery Doktor Warszawski siedzi wieczorem w swojém mieszkaniu i smutnie duma o śmierci dziecka i panienki, których wyleczyć nie zdołał. Rozmyślanie przerywa mu służący z listem, na którego kopercie doktor poznaje rękę brata przyrodniego. O bracie nie słyszał lat dziesięć, z drzeniem serca pieczęć odrywa i znajduje nie słowa miłości, ale zimne wezwanie lekarskiéj pomocy. Doktor długo nie może się uspokoić, nareszcie łzy puszczają mu się z oczu. —

Łza nie jest to woda, jak mówią ludzie zepsutego serca, ani płyn ułatwiający poruszenia oka, nakształt sadła pomagającego obrotom kół powozu, ani chemiczna kombinacya wody, soli morskiéj, wapna i t. d., ani wreszcie prosta litera moralnego alfabetu. — O, nie! jest to pożegnalny upominek dany pierwszym naszym rodzicom w chwili strapienia, przez Archanioła, który zaparł za niemi wrota Edeńskie, jest to kropla zdroju niebieskiego. Całe ciało człowieka jest podłe, skazitelne ziemskie; jedna tylko łza szczerego uczucia jest czysta, bo ma początek z nieba. Ledwie zapłakałem, wszystkie moje myśli zmieniły się. Zamiast złorzeczyć bratu, zacząłem się nad nim litować i usprawiedliwiać go żarliwie. Wszak człowiek oziębły w sercu — mówiłem sobie — jest najnieszczęśliwszą istotą na świecie. Z resztą czyli fenomen moralny możeż być bez przyczyny? — Nie. Jeśli czucie do tego stopnia wyziębło w Karolu, to kto wie czy nie dla

tego, że przeszedł ciężką kolej doświadczenia? Może wielu czerpało z tego serca, a nikt go nienapełniał wzajemnością, i źródło uczuć wyschło! Biedny Karol! jak się on musiał pasować z sępami wątpienia, podejrzliwości i chłodu moralnego, póki mu nie pożarły serca! — Zamyśliłem się głęboko. — Ha! — zawołałem po chwili — kiedy skwar gwałtowny wysuszy źródło, wszakże to samo słońce topi śniegi na szczycie bliskich gór, a niebo zsyła deszcze, ażeby nowe wody naciekły do źródła i żeby nie było suchem łożyskiem. Czyliż religia nie jest dla strapionego serca także promieniem słońca i rosą niebieską, które żywią i podsycają w niem źródło uczuć w cierniach żywota.

Przytoczyliśmy cały ustęp i znajdujemy go niepospolicie pięknym pomimo śladów złego smaku, pomimo zaniedbania stylu.

Karol leży w ostatnim stopniu suchot. Ksawerego przyjmuje zimno i ironicznie, ale doktor przytłumia w sobie żal i z czystém, braterskiém uczuciem przystępuje do chorego. Samotność Karola opuszczonego od świata całego mocno uderza doktora, pozostaje więc u niego na noc. Tu pozwolimy sobie dłuższy przytoczyć wyjątek. Doktor prosi Karola, żeby mu opowiedział swoje życie. —

Po co rozgrzebywać ten popiół? — odpowiedział Karol smętnym głosem. — W każdéj powieści, a nawet dziejach, wypadki tyle mają ceny, o ile prowadzą do jakich ważnych wniosków. Na co ci wiedzieć gdzie byłem? co robiłem? kogo znałem? i t. d. Musiałbyś te rzeczy kombinować i rozstrząsać, żeby dojść do tego, co ci mogę powiedzieć w kilku słowach. Łaknąłem nieustannie spokojności ducha, i nie znajdowałem jéj; siliłem się załatać jakąś dziurę w sercu, przez którą wyciekało mi szczęście, i nie mogłem tego dokazać; dręczyłem się nie pojętemi dla mnie żądzami; oczekiwałem czegoś z dnia na dzień i szukałem na wszystkich drogach, nie doczekałem i nie znalazłem!.. słowem, życie moje przedstawiało jakby symptomata jakiejś moralnéj choroby... Doktorze! to twoja rzecz znaleźć dla niéj nazwisko.

O mój Karolu! — rzekłem z westchnieniem — znam tę chorobę, spotykam ją nieraz w towarzystwie, w silniejszym lub słabszym stopniu. Jest to na nieszczęście dość pospolita w naszym czasie choroba — to są suchoty serca. —

Ha! dość trafnie! jednak nie zupełnie. Moje cierpienie było większe, bo i umysł passował się z boleścią. Suchoty

duszy byłoby dokładniéj. No Panie Doktorze, a jakież przepisujesz lekarstwo od tych suchot? —

Jest tylko jedno, ale pewne. — Religia, to jest: przekonanie w umyśle, miłość w sercu, i wylanie obojga w uczynkach. Człowiek, który z pokorą i ufnością w Bogu używa tego lekarstwa, uważa życie ziemskie za czasową pielgrzymkę, i chociażby była najboleśniejszą, nie traci nigdy pokoju ducha „w miłości nie ma bojaźni — mówi Jan Ś. Apostół — gdyż bojaźń ma utrapienia; a kto się boi, nie jest doskonałym w miłości.“ —

Szukałem tego lekarstwa — rzekł Karol — ale byłem za nadto oddany światu, żeby je znaleźć. Czułem jednak, że błądzę, o! głęboko to czułem, i nieraz, kiedy niesyt albo niespokojność dręczyły mą duszę, wołałem do Boga z rozpaczą o promień łaski niebieskiéj, coby mi ogrzał serce miłością lecz wołałem jak próżniak, który, niechcąc pracować żebrze, i dla tego Niebo nie wysłuchało mego głosu. A bez tego, czémże było moje życie? Błądziłem ciągle po manowcach, sam nie wiedząc gdzie biegnę? i czego szukam? podobny do okrętu, który, straciwszy igłę magnesową, krzyżuje ocean w różnych kierunkach po woli fal i wiatrów, passuje się z burzami, i nigdy nie wié, gdzie go zaniosą. Rozum i honor zachowały mnie od zmazy; imie moje było zawsze otoczone szacunkiem towarzystwa, w którém mnie los postawił; ale w duszy ileż to razy nazwałem siebie fałszywym, podłym, okrutnym, nikczemnym człowiekiem! Padałem z błędu w błąd, ze słabości w słabość, z męczarni w męczarnię; szukałem ciągle nowych wrażeń, żeby odurzyć tęsknotę serca. Chęci i żądze moje ciągle się zmieniały. Ani przyjaciel, ani kochanka nie mogli mnie długo zajmować. Serce moje było w pewnym rodzaju zimnéj exaltacyi, któréj wybuchy dawały drugim tak fałszywe o mnie pojęcie, że uważali mnie za człowieka czułego i przywiązywali się do mnie. Ja sam łudziłem się często, upędzając się za marami miłości, przyjaźni i sławy, ale wkrótce poznałem z rozpaczą, że mniemana czułość była nie więcéj, jak drażliwość nerwów albo szał gorączkowy, chorowite wzruszenie serca, bez stałéj osnowy, a zatem fałszywe i nietrwałe.

Żal mi tych ludzi, co zbliżali się do mnie. Ja byłem jak żelazny piecyk, co chwilę grzeje mocno, a potem mrozi rękę, która się do niego dotknie. Nikt nie przeniknął do głębi méj duszy, nikt mnie nie znał.

Choroba moja przeszła wkrótce i do umysłu. Myśl zaczęła szukać także, coraz nowego pokarmu, i przeżuwszy go rzucała z niechęcią. Przechodziłem od jednéj nauki do dru-

giej, zgłębiłem jednę więcéj drugą mniej. Każda z nich zajmowała mnie mocno, póki nie doszedłem do stałych o niéj pojęć, póki nie wyczerpałem przedmiotu lub ciekawości; a potém każde przeczytane dzieło stawało się dla mnie obojętnem. — Laplace tak samo jak Byron, Cuvier jak Tacyt i Kant jak Rabelais. I nie mogło być inaczéj. Wszak xiążki, są to ludzie z papierowem ciałem i każdy postępuje z niemi tak samo, jak ze zwyczajnymi ludźmi. Znudziło mnie wszystko; straciłem bodziec do pracy, wpadłem w rozumne lenistwo, najgorsze ze wszystkich rodzajów próżniactwa i zostałem zupełnie bez obrony przeciw temu robakowi, który mi toczył serce.

Nie lubię w ogólności długich dyssertacii w przedmiotach moralnych. Świat jest tak dziwnie stworzony, że w materii jest więcéj niż materia, jest mądrość. Dla tego używam często — to krócej i dobitniej. Oto naprzykład wracając do mojéj biografii, widzę, że mógłbym był porównaniem dać ci dokładne o mem życiu pojęcie. Jak w suchotach piersiowych powietrze wciągane w chorowite płuca, zamiast ożywiać organizm ciała, coraz więcej je niszczy, tak w suchotach duszy wrażenia życiowe, padając w głąb' schorzałego ducha, wytępiają w nim pierwiastek niebieski i niszczą życie moralne. —

Skończywszy zamilkł.

— O Karolu! — zawołałem — dla czegożeś?

— Wiem co chcesz mówić — przerwał mi Karol niecierpliwie — będziesz deklamował o mojéj oziębłości dla ciebie, o przerwie listowania, dla czego nie szukałem pociechy i rad u brata? i t. d. Daj pokój! nie mam ci na to co odpowiedzieć. Oziębłem, no, cóż robić? stało się, a kiedy się stało, to nie chciałem udawać z grzeczności, że się nie przemieniłem, bo widzisz, mój Xawery, po kilku latach życia zrobiłem sobie postanowienie, wyjąwszy obowiązków społecznych, nigdy nie czynić tego, co mnie nudziło, ani marzyć o tém co wiedziałem że nie jest prawdą.

Ja myślę — rzekłem uśmiechając się — że każdy ma ten zwyczaj. —

— Gdzie tam! Widać, że mało obserwowałeś ludzi. Bóg stworzył człowieka na obraz i podobieństwo swoje, a człowiek w naszych czasach zrobił z siebie małpę. Większa część czynności ludzkich pochodzi z małpiarstwa. Człowiek, nie zdając sobie rachunku, naśladuje drugich, zwodzi samego siebie, smuci się i extazjuje na cudzy manjer. —

— To mogą czynić tylko dzieci.

— Mylisz się. Dla dzieci małpiarstwo w ogólności poży-

teczne, bo inaczej jakżeby się nauczyły jeść, pić, chodzić i mówić? Ale w ludziach dojrzałych ta wada jest płaska i często zgubna. Przejdź myślą swoich znajomych, czyliż to jeden z nich z małpiarstwa osobom żyjącym, a nawet bohaterom powieściowym, nagina swoje życie na ich ład? pozbywa się samobytności, wspomina uczucia, których nigdy nie czuł, poetyzuje to, co go w istocie nudziło i śmiesznie kłamie przed swoją własną personą? Nie jeden, spędziwszy najprozaiczniej dziecinne lata, przeszedłszy przez nudy, miłostki, przeczytawszy drzémiąc jaki poemat, który mu zachwalono, albo wycierpiawszy nędzę obojętnie, jak osieł, marzy potém, idealizuje te płaskości, i powiada drugim o błogich chwilach młodego wieku, o gołębiej miłości, o cudnéj poezyi i strasznych cierpieniach, których kiedyś doświadczał? Z małpiarstwa ludzie często chcą być kochani jak drudzy i zawiązują romanse bez wewnętrznego uczucia, chcą mieć tęgą głowę i piją, chcą uchodzić za nieustraszonych i pojedynkują się i t. d. Sądzę więc, że to jest nie zła rzecz, kiedy człowiek dobrze się rachuje sam z sobą i nie robi tych niedorzeczności.

— O jakże zimna twoja filozofia mój Karolu! Wolałbym, żebyś był za przykładem drugich, nie zrywał związków z bratem, chociaż się stał dla ciebie obojętnym. —

— Może to być Doktorze! ale do czegoż nas doprowadzi ta pusta rozmowa? Wróćmy lepiéj do małpiarstwa. Kiedyś będąc na wsi, zrobiłem ciekawe doświadczenie nad owcami. Kiedy otworzono owczarnią, podstawiłem we drzwiach pierwszej owcy kij przed nogi, i gdy przez niego przeskoczyła, odszedłem. Cóż powiesz na to? Wszystkie owce ile ich tylko było, skakały wylatując z wrot, jak gdybym trzymał im kij i czyniły to rozumie się nie z potrzeby, ale dla tego, że pierwsza owca podskoczyła na tém miejscu. Otóż towarzystwo jest taką samą owczarnią. ....

Nazajutrz rano Karol całą godzinę rozmawiał z Xiędzem, potém modlił się gorąco. Gwałtowny i bolesny kaszel przerwał mu modlitwę. Kiedy wszedłem do niego, przywitał mnie łagodnie, rozmawiał o religij, o życiu przyszłem i próżności wszystkiego na świecie. Obrok duchowny jeszcze ogrzewał jego serce i bijąc promieniami niebieskiego światła, rozjaśniał, podwyższał i barwił myśli, które umysł wyrabiał w téj chwili. Widziałem wyraźnie, że ta potężna głowa zgięła się z pokorą przed uczuciem prostego kapłana i żal mi się zrobiło mądrości ludzkiej. Ognisko duszy jest niezawodnie w sercu! Cały dzień był dosyć spokojny i przypominał sobie jasne dni życia, co nas wciągnęło w długą rozmowę o domu rodzicielskim i czasie naszej młodości.

W nocy lodowaty jego demon znów wziął nad nim górę. Wpadł w zwyczajny swój humor, zrobił się obojętny, niespokojny, zgryźliwy, nudny. Rozmowa jego nie zatrzymywała się długo na żadnym przedmiocie; mięszał wszystko, zaczynał i nie kończył; zamiast rozumowania, po większej części drwinkował, rzucając sarkazmy, tchnące jakąś odrętwiałością, chłodem, zgnilizną uczuciową. Wypisuję tu z jego zdań te, które bez wyraźnej przykrości, mogłem sobie przypomnieć.

Jeżeli życie człowieka jest podróż od kolebki do grobu, to wyznać należy, że nikt jej nie odbywa w prostej linii, sumiennie i bez straty czasu. Naśladujemy żaków, którzy idąc do szkoły, wybierają najkrętsze drogi, zatrzymają się wszędzie, gdzie się można pogapić, biegną w stronę za motylem, żeby go przypiąć na czapce, i jako ozdobę, nosić na głowie, robią psoty żydkom, słowem myślą o wszystkiem wyjąwszy o tém, że im trzeba iść do szkoły. Takim sposobem żaki i ludzie robią dziwaczne zygzagi i często strudzeni bieganiną, żałując niedokończonéj pustoty, niespodziewanie stają u mety.

Śledźcie naturę, a zobaczycie ścisłą sprawiedliwość. Jeśli ta matka skrzywdzi człeka w jednym względzie, to wynagradza mu krzywdę w drugim. Tak naprzykład, ślepy lepiéj słyszy albo czuje palcami, głupi bywa zdrów, jak nosorożec. Kto często choruje, to za to bez niebezpieczeństwa; kto rzadko, to ciężko; kto ma wielką pamięć, to mniej innych zdolności umysłowych i t. d. Wszystko to powinnoby nas naprowadzić na tę myśl, że sprawiedliwość wcale nie jest pojęcie względne, ale zakon zasadniczy, bez którego światby się nie ostał.

. . . .

W niektórych miejscach używają psów do obracania pieczeni na rożnie. To biedne stworzenie patrzy całą godzinę na wyborną sztukę mięsa i wie, że jéj nie liźnie, a jednak wróciwszy do swéj budy, nie narzeka na ludzi, nie pisze rozpaczających elegii i nie odejmuje sobie życia.

Jedną razą mówi Karol:

Ja mam mnóstwo dziecinnych niedołężności w swoim charakterze. Jest to dziwnie pojmować rozumem niedorzeczność takich przywar, a jednak być całe życie pod ich wpływem, cierpieć przez nie, skrywać je przed światem, gardzić samym sobą i nie mieć nigdy dość woli, żeby się ich pozbyć . . . . . Widzisz Doktorze, ja jestem człowiek z niecierpliwą żądzą, osobliwie kiedy wiem, że mogę czegoś żądać bez wyrzutu sumienia a choćby szło o dzieciństwo, o baga-

telę, jest dla mnie okropną katuszą. Jeśli chcę co widzieć, poznać, kupić muszę to natychmiast wykonać, bo dopóki nie wykonam, nie mogę o czem innem myśleć, jestem niespokojny, rostargniony, gniewam się i tem więcej cierpię, że w tym samym czasie oburzam się na siebie za to głupstwo. Ileż to razy wtenczas, kiedy jeszcze nie miałem zbywających pieniędzy, kiedy żona i dziecko ich potrzebowały, traciłem ostatni grosz na fraszki, których mi się nagle zachciało! Ileż razy ta pustota zawracała mi głowę, kiedy byłem zajęty obowiązkiem, kiedy czytałem jakie ważne dzieło, albo kiedy rozmawiałem z osobą do mnie przywiązaną! — i czy uwierzysz? — rzucałem xiążkę, człowieka, kobietę, nie słuchałem, co mi mówili i marzyłem tylko o owej pustocie? Gdyby ta porywczość do drobnostek sprawiała mi przynajmniej trwałą przyjemność, tobym sobie jeszcze wybaczył, ale byłem podobny do dziecka, które dobija się fraszki, a jak weźmie w rękę, to rzuca obojętnie. Czy pojmujesz takie dziwactwo? —

— Każde dziwactwo jest niepojęte, inaczéj nie byłoby dziwactwem. —

— Powiem ci drugie. Mam z łaski Boga dość dobrą głowę. Śmiałem się całe życie z zabobonów, wróżbiarstwa i guseł; mógłbym był napisać filozoficzny traktat o tym przedmiocie, a sam byłem zawsze pod wpływem tych niedorzeczności. Kiedy mi się śniły dzieci, kiedy spotykałem babę wychodząc z domu, kiedy mi dzwoniło w uchu i t. d. czułem mimowolnie jakąś obawę i oczekując na pewno jakiejś nieprzyjemności, rozumie się zawsze coś takiego znajdowałem. Czy to nie śmiesznie?

— Wierzę że w chorowitéj duszy mogą być podobne symptomata. —

— Słuchajże dalej. To dwie niedołężności, które ci powiedziałem, wszakże dowodzą jakiegoś nieładu w duszy, powiedzże mi jakim sposobem wiązała się z niemi jakaś manja porządku i systematu we wszystkich drobnostkach codziennego życia? W moim pokoju wszystko musiało leżeć na pewnem miejscu i w pewnej symetrii; prowadziłem zawsze regestra i inwentarze; płaciłem pieniądze jak najregularniej; nie miałem nigdy długu; nie raz wolałbym darować jak pożyczyć; robiłem nieustannie plany dla systematycznego zajęcia się, wyznaczając na każdy przedmiot stałe godziny, ale prawie nigdy nie doprowadzałem ich do skutku, dla tego, że bez pokoju duszy, systematyczna praca jest niepodobna. No Doktorze powiedzże mi że byłem całe życie półgłówkiem. —

— Żal mi ciebie Karolu! Te drobiazgowe niedołężności są tem dla duszy, czém robactwo dla ciała.

— Nie złe porównanie, masz słuszność. To robactwo od którego nie umiałem się opędzić, zupełnie odejmowało mi pokój. Dziś chęć do tego, jutro do czego innego; żadnej stałej żądzy; ciągła jesienność, posępność, drażliwość, obawa, podobna do strachu dziecka w ciemnym pokoju; zupełne rozprzężenie ducha, który tylko w chwilach wysiłku wchodził w karby posłuszeństwa rozumowi.

. . . .

Ogień z wodą, poezya z płaską prozą, żadnym sposobem się nie jednoczą, a u mnie w duszy wszystko to było razem. Nie raz w najnudniejszym splinie chwytałem za pióro i na papier wylewały się gorące miłośne wierszyki, albo dziwnie komiczne i wesołe sceny. Inną razą przeciwnie w ciągu najczulszej rozmowy, kiedy słowa młodej kobiety burzyły mi krew, w głowie mojej zjawiały się wspomnienia prac naukowych, jakieś matematyczne formuły, albo sarkastyczne koncepta, albo fantastyczne obrazy dziwolągów.

Całe życie marzyłem o tém, co jest najpiękniejszego na ziemi; chciałem być filozofem, poetą, bohaterem, lecz najwięcej, najmocniej pragnąłem kochać, kochać przyjaźnią i miłością; ale kiedy serce moje upędzało się za temi ideałami, wieszże jakie miałem przekonanie umysłowe? Oto, powtarzałem sobie, że sława jest chwilowa błyskotka, a zatem nie warta zabiegów i że interes kojarzy i zrywa przyjazne związki; że prawdziwa miłość, miłość taka o jakiej marzyłem nie exystuje na ziemi. Tym sposobem serce zawsze pociągało mnie do ludzi, a głowa mnie od nich odstręczała. Nudziłem się bez towarzystwa i nudziłem się w dobrze znajomem towarzystwie . . . .

W przyjaźni, w miłości, kilką wzlotami wznosiłem się wyżej jak inni w długim czasie, ale prędko też stygłem, nudziłem się, stawałem się obojętnym, gniewałem się na tych, których przed chwilą kochałem, jak gdyby mnie zdradzili; i jeśli obrazy ich trzymały się w mojej pamięci, to były to nieprzyjazne dla mnie widma.

. . . .

Wierz że pająki nie chodzą po wodzie. Otóż raz nalałem wody w miednicę, zrobiłem krążek drewniany z pręcikiem przymocowanym prostopadle do jego płaszczyzny i puściłem na środek wody jak czółenko z masztem; na wierzchu tego masztu posadziłem pająka, i zacząłem obserwować, co też zrobi w tym przypadku? Pająk zszedł naprzód na dół po pręciku; lecz zobaczywszy wodę wrócił

nazad, kręcił się długo we wszystkie strony na szczycie masztu, jak gdyby wypatrywał drogę ratunku, nareszcie zaczął snuć z siebie pajęczynę, uformował z niej maleńki kłębek, rzucił go łapkami na brzeg miednicy i po tej nitce co tchu uciekł. ...... Ten pająk był mędrszy odemnie, bo on potrafił uniknąć zimnej wody i wyratował się własnemi siłami, a ja przy całym moim rozumie nie umiałem wysnuć sobie z serca nitki pokoju i zbawienia.

— Mój Karolu — rzekłem z westchnieniem — powinieneś dziękować Bogu, że przy takim braku czucia nie stałeś się złym i występnym człowiekiem —

— Zdrowy rozum pomógł nie wiele — rzekł Karol — uczucie honoru także. Ustrzegłem sie występków, ale bez zasadniczego czucia, nawet dobre moje uczynki nie miały w mojem przekonaniu żadnej ceny. Bo widzisz, naprzykład kiedy spotykałem ubogiego, nie odmawiałem mu wprawdzie jałmużny, ale dawałem pieniądz obojętnie, jak zapłatę robotnikowi, myśląc tylko o tém, żeby się jak najprędzej ode mnie odczepił; zrobiłem nie jednemu przysługę, ale mnie to zawsze nudziło; pożyczałem pieniędzy bez kwitu, mniej dla tego, żeby dopomódz, jak żeby doświadczyć uczciwości ludzkiej; litowałem się nie raz nad nędzą, płakałem nawet, ale tak samo, jak nad czułą xiążką, to jest chwilowo, z draźliwości nerwów a nie z czucia.

Taka mnogość odcieni w charakterze jednego człowieka trudno się pojąć daje, taka mięszanina wielkich i małych, piękniejszych i brzydszych pierwiastków ma pozory igraszki fantazyi albo klejonki spostrzeżeń uzbieranych po wielu książkach, a przecież Karol jest prawdopodobny i doświadczenie co dzień przekonywa, że w otchłani serca ludzkiego i myśli ludzkiéj najdziwaczniejsze sprzeciwieństwa obok siebie przemieszkiwać mogą. Jedna religijność nie swojsko wygląda nam w Karolu, nie dla tego żeby religijność była koniecznie przywilejem cnoty albo miłości, przeciwnie nie raz najwięksi zbrodniarze, ludzie najtwardszego egoizmu miewają jakieś niewytłomaczone przywiązanie do religii, ale jest niepodobna, żeby człowiek, który do Pana Boga szczerze powrócił i już widzi przed sobą otwierające się wrota wieczności, przywiązywał jeszcze jaką wagę ziemską do historii swoich zboczeń, tak cierpko a tak chętnie rozwodząc się nad swoją moralną chorobą. Wspomnie-

nie sprawiedliwości natury zamiast sprawiedliwości bożéj, w ustępie: śledźcie naturę a zobaczycie ścisłą sprawiedliwość musimy uważać za lapsus linguae.

W zdaniach chorego, w téj ciężkiéj na rodzaj ludzki diatrybie, prawda z fałszem tak są pomięszane, że trudno je od siebie odróżnić. Co najgorsza, to rodzaj obojętności czy przyzwolenia na własne niedostatki moralne, jakiemi jego słowa są przesiąkłe; nieraz przychodzi na myśl, że Karol ma siebie za ofiarę fatalizmu. Doktór utrzymujący w rozmowach stronę przeciwną, w obec suchości i samolubstwa przedstawiający serdeczność i poświęcenie nie powinien był bez odpowiedzi tylu niesprawiedliwych uwag zostawić, miał obowiązek kilku wyrazami mądrości ewangelicznéj rozwalić całe to rusztowanie dumy i niemocy. Raz pozwoliwszy na wytoczenie processu sercu należało go lepiej bronić i tam gdzie prostotą i uczuciem łacno było zniweczyć sofismata umysłu, autorka miała powinność śmiało prostoty i uczucia użyć. W każdym razie złych charakterów nie godzi się w sposób pociągający wystawiać, nie godzi się współczucia dla samolubstwa i ironii budzić.

Niestety suchoty duszy w rozmaitych odcieniach są bardzo pospolitą chorobą. Indywidualizm tak rozwielmożony w naszych czasach i brak namiętności dobrych czy złych, przy ogólném usposobieniu w powietrzu rozlanem, groźne dla badacza przedstawiają symptomata. Póki człowiek młody, lekkość i zmysłowość dają mu pozory życia, późniéj wszystko w nim krzepnie i ostyga, raz straciwszy pociąg krwi do bliźnich, zaczyna niemi gardzić, nudzą go stósunki nie na rachubie oparte i w końcu śród rozwalin budowy lat wcześniejszych pozostają tylko samolubne pożądliwości znaczenia i pieniędzy. Są niekiedy uczciwsi, którzy wyobrażenie o obowiązku z rozbicia wynoszą, ale kiedy miłości w sercu nie ma, wszelkie pojęcia umysłowe powoli się przetwarzają i egoizm bierze miejsce i pozory obowiązku. Istnieją przecież lekarstwa na usposobienie do suchot duszy. Kto wcześnie uwierzył w jaki cel szlachetny; kto starał się zrozumieć

wzniosłość powinności, jakiemi go Pan Bóg na świecie otoczył, kto się wytrwale uzacniającą pracą zajął, kto usilnie walczył z pierwszemi popędami sobkowstwa i choć nie czuł w sobie od razu prawdziwéj miłości, cierpliwie jéj szukał i stale o nią Pana Boga prosił, kto wreszcie nie pociąg przemijający ale braterstwo dusz brał za podstawę w swoich stósunkach, tego zaraza lodowata nie dotknie.

Zdania Karola pójdą łatwo na aforyzmy dla niedojrzałéj młodzieży, która nie czuje, że samolubstwo, choćby na stopień gorzkiéj poezyi wyniesione, jest godne pogardy i nie rozumie, że człowiek przedewszystkiem powinien usiłować i że brak pracy wewnętrznéj braku siły i prawdziwéj wysokości dowodzi. Sama autorka poczuła wątpliwość sumienia i napisała przedmowę w odpowiedzi Karolowi. Mówi ona:

Bohater tej powiastki nie jest niedowiarkiem, w tém znaczeniu jak to słowo pojmowały zepsute umysły końca XVIII. wieku, o nie! Dzięki Bogu, w naszym czasie każdy rozsądny człowiek pojmuje całą niedorzeczność i nikczemność niedowiarstwa religijnego, dziś każda myśląca głowa wierzy i umie cenić dobroczynny wpływ Religii na społeczność ludzką. Ale żeby być chrześcianinem, nie dość jednej wiary, trzeba jeszcze miłości i uczynków. Jedno przekonanie rozumowe jest tylko filozofią ale nie Religią; trzeba żeby gorąca miłość Boża ogrzała to przekonanie świętem swojem płomieniem. „Kto nie miłuje — mówi Jan Ś. Apostół — nie zna Boga, gdyż Bóg jest miłością, a kto mieszka w miłości, w Bogu mieszka a Bóg w nim.“ ..... „Trzy są rzeczy — mówi Paweł Ś. Apostół — wiara, nadzieja, miłość, lecz z nich większa miłość.“ Ona jak rosa niebieska ożywiała pierwszych Chrześcian i ochoczo ich wiodła przez najsroższe katusze do palmy męczeństwa; ona jedna daje pokój w ciężkiej i ciernistej pielgrzymce żywota; ona jest zasadą wszystkiego, bo podług słów Pawła Ś.: „gdybym mówił językami ludzkiemi i anielskiemi, a miłościbym nie miał, stałbym się jako miedź brząkająca, albo cymbał brzmiący. I chociażbym miał proroctwo, i widziałbym wszystkie tajemnice i wszystkie nauki, i miałbym wszystką wiarę, tak, iżbym góry przenosił, a miłościbym nie miał, niczém nie jest. I choćbym wszystkie majętności moje rozdał na żywność ubogich, i choćbym wydał ciało moje, tak, iżbym był spalon, a miłościbym nie miał, nic nie pomoże!...

Kto nie miłuje Boga, nie ma nic stałego w ziemskich swoich uczuciach, nie znajdzie ani pokoju, któregoby sobie nie zatruł, ani żadnego szczęścia, coby wkrótce nie zwiędło, ani myśli wysokiej, coby nie spospoliciała w moralnym chłodzie jego istoty i tem więcej będzie cierpiał, im silniejsze są władze jego rozumu.

Wszystko to jest i piękne i prawdziwe, ale mniej pewnie jak sama powieść na czytelniku zrobi wrażenia. Nam ile razy napotykamy tłomaczenie niespokojnéj poczciwości z popełnionego pisarskiego grzechu, zawsze przychodzą na myśl dwie medytacye Lamartina: Le Désespoir i la Providence à l'homme, pierwsza tak namiętna, tak świetna, druga pełna pospolitości i więcéj frasunek jak przekonanie pokazująca. Nawet najzręczniejszą obroną nie łatwo naprawić wrażenie gwałtownéj skargi.

Charakter doktora jest dobrze pojęty, właśnie taki, jaki należało przeciwstawić Karolowi, ale w wykonaniu cała fizyonomia spospoliciała. Na nieszczęście zawsze w romansach rozpusta, lekkość, nawet egoizm wszczepione bywają w powabne typy, kiedy przeciwnie poświęcenie, serdeczność, zdrowy rozsądek występują na scenę w postaciach sentencionalnego księdza albo doktora z temi ckliwemi na ustach wyrazami, które od dawna ukuto na kowadle uczuciowéj filozofii i filantropii a które jednostajnością i fałszywą dobrodusznością wszystkich nużą i odrażają.

Wróćmy do ciągu powieści. Doktór ciagle nalega, żeby mu Karol swoję historyą opowiedział. Karol sam nie chce grzebać w ostygłym popiele, ale mu pozwala poszukać między szpargałami i tam znajduje się kilka ustępów z całego życia, z sobą mało związku mających. W pierwszym epizodzie pod tytułem: kozienice są dzieje młodocianéj miłości z siostrzenicą poczmajstra. Karol nie kocha i tylko przez próżność biedną dziewczynę bałamuci, znudziwszy się uczuciem, które sam rozdmuchał, odjeżdża a biedna Tekla do klasztoru wstępuje. Dom poczmajstra, miłośnika gołębi, osoba Tekli niezgrabnéj i śmiesznéj ale szczeréj i serdecznéj kobiety, oddane są ja

najprawdziwiéj. Drugi romans zupełnie w innéj zawięzuje się sferze i bohaterka tego ustępu Marya bardzo mile odbija śród postaci, które choć ożywione rzeczywistem życiem, prawie zawsze rubasznością grzészą. Maryą szczérze Karol kocha, ale ją rodzice za innego pójść przymuszają. W jéj poddaniu się woli rodziców, w jéj całym sposobie jest coś bardzo pociągającego, szkoda że na końcu pisze list pożegnalny, w którym zdziera nieco z siebie urok delikatnéj powłoki. Następuje ożenienie się Karola i kto tylko wpatrzył się w ten charakter łatwo pojmie, że żona jego ze zgryzoty umrzeć musi.

Nie dziwmy się, że tak snadno wszyscy się do Karola przywięzują, właśnie charaktery podobne mają w sobie coś magnetycznego i najczęściéj dla nich samych jest męczarnia Tantala w téj ciągle odnawiającéj się łatwości. W historyi Karola znajdujemy śliczny szczegół o służącym Romanie, który w czasie wojny niosąc dla niego żywność w torbie przez dwa dni nic a nic nie je. Tego Romana potem Karol odpędza.

W ostatnim ustępie pod napisèm: Romans na Zimno autorka wprowadza nas do Salonu hrabiny Aurory, lwicy Warszawskiéj. Osoba hrabiny Aurory zupełnie się udała. Między lwicami są rozmaite odcienia, że obszar rozciągający się od zepsucia aż do oryginalności umysłu wiele ich pomieścić może, otóż pani Sztyrmer wywiodła na scenę lwicę, jakich zapewne najwięcéj z przewróconą głową a dobrem sercem, z szlachetnością charakteru i pewną siłą w umyśle, kobietę, którą jedno prawdziwe uczucie, jedno słowo wyrzeczone w dobréj chwili, może przemienić w bohaterkę albo pokutnicę, a któréj widać tylko brak zrozumienia fałszywości i śmieszności roli z najgorszych francuzkich romansów naśladowanéj. Karol poniża ciągle Aurorę i drażniąc jéj miłość własną przywodzi ją w końcu do zupełnego poddania się jego woli. Uczona strategia Karola może być bardzo prawdziwa, ale nam się zanadto wyalembikowana na atmosferę Warszawskiego salonu wydaje. Karol i Aurorę bardzo prędko i niewiadomo dla czego porzuca. Z osób

podrzędnych obok Aurory i Karola uderzyła nas wyborna postać ciągle żalącego się Cyprysa.

Z porzuceniem Aurory przerywają się dzieje Karola. Wiedzieliśmy naprzód, że musi koniecznie umrzeć, bardzo więc sprawiedliwie usunęła autorka z przed oczu obraz chwil jego ostatnich. Czemu tylko wystawiwszy nam świetne epoki w życiu Karola i ostatnie opuszczenie jego od ludzi, pominęła całą historyą środkową? Dla delikatnéj obserwatorki właśnie te lata najwięcéj pola do pokazania w przykładach tego, co już była powiedziała, w ogólnym zarysie charakteru zostawiały. Tak znakomitéj autorki nie chcielibyśmy posądzać o niezdolność utworzenia pewnéj całości. —

Inne powieści pani Sztyrmer pospieszniéj rozbierzemy.

Po Duszy w Suchotach najcelniejsze zdaniem naszem zajmuje miejsce fantazya Frenofagiusz i Frenolesty, któréj wstęp przypomina w sposobie wstęp do Nie Boskiéj Komedyi. Treść Frenofagiusza jest następująca: Autor w upojeniu radości z dobrego powodzenia swojéj książki wybiega bez celu na miasto, jakiś przechodzień radzi mu, żeby poszedł obejrzeć dom waryatów i ta rada zawodzi go do Bonifratrów w Warszawie. Dozorca u Bonifratrów daje gościowi za przewodnika jednego z obłąkanych, który się mieni Marszałkiem potężnego Frenofagiusza. Wedle Marszałka Frenofagiusz karmiący się rozumami ludzkiemi istnieje rzeczywiście. Jego dostarczycielami są Frenolesty, podrzędne ajenty powstające z włosów, które sobie wyrywa, i wysełane w świat, żeby targać nitki łączące u ludzi serce z umysłem. Gość zapytuje się:

— Powiedz mi mój Marszałku, jakim sposobem twój Pan karmi się.

— Jakim sposobem? Cha, cha, cha! zabawne pytanie! takim samym sposobem jak WPan zjadasz kaczki, barany i woły. Wszak nie połykasz ich, póki żywe i im większy zwierz, tém na więcej kawałków musisz go rozdzielić wprzód,

nim całego skonsumujesz; no, tak samo i potężny Frenofagiusz zjada rozum dopiero wtedy, kiedy nitka łącząca dwie jego połowy i utrzymująca w nim życie będzie przecięta, a im większy rozum tem dłużéj go je.

Marszałek oprowadza gościa po celach często go zatrzymując dla opowiadania historyi pojedyńczych waryatów. Wszystkie trudności w powiązaniu wypadków, które każdego z nieszczęśliwych do obłąkania doprowadziły, rozwiązuje przypuszczeniem wpływu Frenofagiusza. Frenolestes zawsze spada w porę.

..... like the catastrophe in the old comedy.

W przestankach dłuższych opowiadań marszałek rozmawia z gościem. W gawędach, jakie z sobą prowadzą, nie ma śladu głębszych badań psychologicznych, strona mistyczna waryacyi całkiem w nich nie dotknięta, autorka wiele dla dowcipu poświęciła rubaszności, złego smaku nie raz się nie ustrzegła, wszakże rozpatrywanie zjawisk, sam przypadkowy zbieg kapryśnych wyobrażeń, nastręczają rozmawiającym sposobność do robienia uderzających uwag najczęściéj wyborną humorystycznością zaprawnych.

Zaczyna się przegląd waryatów od Jakóba kozéry, którego karty przywiodły do obłąkania. Historya kozéry jest zagmatwana i mniej prawdopodobna; drogi, na jakich szaleństwo co dzień słabych ludzi do ruiny, do upadku moralnego i do szaleństwa popycha, łatwiejsze się nam i zwyczajniejsze wydają. Frenolestes mógł sobie śmiało oszczędzić mozołu pewnie bez teleskopu i bez cudownego pierścionka, graczaby z kozéry był zrobił. Zkąd inąd powieść za melodramatycznie się kończy i choć z daleka przypomina: Trzydzieści lat życia szulera, sztukę, która dla tego że przesadzona nie poprawiła nikogo. — Karolina w ustępie pod napisem: Kobieta filozofka nie prawdziwie została pojęta. O ile wiemy mało jest u nas filozofek; excentryczniejsze kobiety to wrodzoną próżnością, to odgłosami o bliskiem wyzwoleniu płci niewieściéj pobudzone rzuciły się w odmęt czynniejszego życia, jedne niepodległości w stósunkach

towarzyskich, inne niepodległości umysłowéj szukając, tak pojawiły się lwice i filozofki. Między ostatniemi są, które istotnie czegoś się nauczyły, są także i udające uczoność. Z tamtemi można dojść do końca, zamiast podchlebstw powtarzając im surowe prawdy o obowiązkach, na tę najlepszą bronią jest śmieszność. Skarać utratą rozumu biedną dziewczynę, która zamiast czytać romansów po księżycu, albo śpiewać smutnych aryi, kupiła sobie Hegla, bawi się w transcendentalność, wydaje się nam rzeczą niesprawiedliwą, z miarą przewinienia nie zgodną. Sam ojciec filozofki, chcący ją niby upamiętać, nie wiele jéj lepsze rady od Frenolestesa daje: Frenolestes zalecił pannie Karolinie Hegla, ojciec każe jéj czytać Sokratesa, Fenelona, Bonalda i de Maistra. Usuwamy na bok Sokratesa, który dzieł nie zostawił i Fenelona, na którego chętnie się zgadzamy, ale zapytamy się pani Sztyrmer, na co się przyda Bonald i de Maistre dla kobiety mającéj wszystko co przeczyta dzieciom oddać? Ileż nauki, jaki sąd wykształcony mieć już trzeba, żeby skorzystać z pism autorów, którzy głębokie ale twarde i nie zawsze z przepisami czystéj miłości Chrześciańskiéj zgodne systemata, w obec innych systematów równie poważnych postawili? Mówiąc o Heglu nie wychodzi pani Sztyrmer z kółka nieśmiałych ogólników; filozofią jego nazywa otchłanią, szydzi sobie z przedmiotowości i podmiotowości, żartobliwie ją zaczépia; a przecież filozofia jest poważną nauką, w każdym razie na poważne obejście się zasługującą. Lada kto może jéj rzucić kamień, nie każdy pojąć i z prawdziwego stanowiska ocenić; przeto żałujemy, że autorka uległa bardzo pospolitéj u nas niewstrzemięźliwości. — Ustęp o officerze, który założywszy się, że uwiedzie młodą dziewczynę, zbałamucił ją za pośrednictwem bezecnych książek, za co długie lata ciężkiemi ścigany nieszczęściami skończył nareszcie na obłąkaniu, jest dobry i dobrze opowiedziany. W tém zdarzeniu nie uważamy, żeby kara za zbrodnię była za mocna. — Jacek zwaryował z odrazy do życia a téj nabrał czytając książki czerniące

świat i ludzi; zdaje mu się, że przechodzi szereg ciągłych metempsychoz, że już odbył koleje orła, wieloryba, psa i t. p. i że na końcu osłem został. Jacek chce na téj ostatniéj zmianie poprzestać, bo mu najmiléj ośle życie pędzić. Sam on swoje dzieje towarzyszowi Marszałka opowiada. Za drzwiami pyta się Marszałek:

— Jakże myślisz, czy on szczęśliwy?

— Trzebaby naprzód wiedzieć, co to jest szczęście. Gość odpowiada.

Cała ta powieść bardzo nam się podobała. Ironia w niéj jest tak lekka, że wcale humorystyczności nie psuje. — Ale najwdzięczniéj ze wszystkich wabi, najmilsze zostawia wspomnienie ustęp o biednéj Rózi. Rózia zakochała się w człowieku nikczemnym, więcéj jeszcze płaskim jak nikczemnym. nie długo pogardziła kochankiem a jednak nie przestała go kochać. w końcu przepełniona uczuciem poniżenia dostała pomięszania zmysłów. Miłość Rózi przypomina kapryżony Oberona w śnie Nocy Letniéj, gdzie Tytania odurzona czarodziejskim kwiatem podobała sobie w mieszczaninie Ateńskim, pomimo jego oślej głowy. Miłość u starożytnych miewała przewiązane oczy, od tamtych czasów wcale nie przewidziała. Historya Rózi i Tytanii ciągle się powtarza i tylko inaczéj bywa opowiadana. Powieść o Tytanii jest powiewna, wesoła. Shakespeare w słowach swoich ustrzegł się goryczy, postacie mgłą srebrzystą przesłonił, Shakespeare chce trochę fantazyą podraźnić i uśmiech wywołać; u pani Sztyrmer wszystko oddycha istotną boleścią, ona kreśli smutne dzieje prawdziwego zawodu serca i nie o czcze zajęcie się ale o łzy współczucia nas prosi. Rózia najbieléj jaśnieje śród grona kilku pięknych kobiecych postaci wywołanych przez panią Sztyrmer, a jéj ciche i dziewicze obłąkanie w ramy muzyki i kwiatów oprawne mile od innych waryacyi, więcéj powiemy mile od wszystkich innych wspomnień nieboszczyka Pantofla odbija. Historyą biednéj Rózi, która nas zajęła niewymownie wzru-

szyła i przywiązała, kończy filozoficzna uwaga rozstrzygająca zadanie przedmiotowości w kochaniu.

Wielka miłość jest uczucie nie zawisłe od świata, uczucie skupione w kochającém sercu i utrzymujące się w niém bez żadnego wpływu osobistości kochanéj istoty. Ta miłość jest podobna do bolu. Powiadają, że kiedy kula armatnia oderwie człowiekowi nogę, to w pierwszej chwili nie doświadcza żadnej boleści, i zaledwie spostrzega, że stracił część siebie samego; a potém kiedy go przygniecie brzemie cierpienia, wszak stopień bolu nie zależy bynajmniej od tego czy kula była żelazna, czy kamienna, czy złota? dosyć tego że to była kula i że spotkała tego człowieka na swojej drodze. Kula odleci daleko, ale ból zostaje.

Historia matki, która ze zbytniego przywiązania do małego synka wpada w szaleństwo i dziecko ubóstwiane sama zabija, jest może prawdopodobna, ale za okropna, żeby ją opowiadać. Na nas takie straszne rzeczy robią wrażenie wysokich tonów z rozszerzonego diapazonu w nowo wynalezionych instrumentach dętych, owe tony istnieją rzeczywiście i zawsze w naturze istniały a jednak, kiedy się je słyszy, cała organizacya przykrego wstrząśnienia doznaje; każdy dobry artysta niezawodnie przyzna, że prawdziwą muzykę tylko w obrębach dawnego diapazonu pisać można. Gorączkowéj przesady najwięcéj znajdujemy w historii samego marszałka, który dostał obłąkania z niemożności napisania romansu. W szeregu wysileń, jaki nam przed oczyma rozwija, jest coś przymuszonego, w sposobie coś pijanego uderza. Czasem nawet zdaje się, jakby zalatywał w opowiadaniu Marszałka wiatr dalekich przypomnień z mierniejszych powieści francuzkich Karra i Gozlana. Cóżkolwiekbądź pomimo wad i usterków, nierówności i zaniedbań cały utwór F r e n o f a g i u s z i F r e n o l e s t y daje do myślenia i bardzo znakomitéj zdolności dowodzi.

W h i s t o r y i m o j e g o K u z y n a mamy obraz człowieka dobrego i rozumnego, którego brak męzkości całe życie nieszczęśliwym robi. P. Wincenty rodzi się słabowity; ojca jego nie ma w domu, poszedł na wojnę, matka jest smutnego usposobienia. Widok łez matki i

samotność rozwijają w chłopcu smętność przedwczesną. Po kilku latach wraca ojciec, ale wojak nie umie dzieci chować i zbyteczną gwałtownością przygniata syna do ziemi. Oddają Wincentego do szkół, tam zawodzi go to, co nigdy nie oszukało najnieszczęśliwszych, zawodzi go pierwsza przyjaźń. W złotych latach wiosennéj młodości, w latach zaufania i wiary, kiedy się pierwszy raz strząśnie ze skrzydeł pył dziecięcego egoizmu, kiedy rodzące się uczucie szuka drugiego uczucia, żeby był powód wyrzec się siebie samego i żeby drogą poświęcenia wznieść się coraz wyżéj do sfery wszystkiego co piękne, Pan Bóg każdemu zsyła towarzysza, który pierwsze kroki na drodze życia ośmiela; Wincenty jest prawdziwie wydziedziczony na świecie, on i wtedy całe swoje ogniste przywiązanie rzuca pod nogi niegodziwemu chłopcu, który korzysta z jego zdolności dla siebie, wszystkie jego ofiary przyjmuje, a potem nielitościwie go odpycha i, prześladując jeszcze więcéj jak drudzy, pierwszy daje Wincentemu przydomek Pantofla. Odtąd zniechęcony młodzieniec, nie umiejąc żadnéj w sobie obudzić energii, zostaje igraszką ludzi. Kocha się; panna nie dosyć, że mu wzajemną nie jest, jeszcze go za sprężynę w innéj intrydze miłosnéj używa; usidlony przez kokietkę złakomioną jego majątkiem żeni się; żona zdradza go i tyranizuje. Wśród nieszczęść P. Wincenty zawsze się poświęca i zawsze bezowcnie, bo poświęcenie bez siły moralnéj do niczego nie prowadzi, w końcu bosy i obdarty musi dalekich krewnych o kawałek chleba prosić. Smutne dzieje P. Wincentego są bardzo zajmujące, ile że się zwykle litujemy nad wszelką niedolą i wszelką słabością, wszakże, przypatrzywszy się bliżéj przedstawionemu charakterowi, śmiemy oświadczyć zdanie, że słabość do tego stopnia posunąć się nie może. P. Wincenty ma wielką naukę i książki wydaje, czyż podobna, żeby się co skrystalizowało w umyśle, gdzie sama niepewność i powątpiewanie się mieszczą? P. Wincenty znowu nic nie widzi koło siebie i we wszystkie sidła wpada; tymczasem doświadczenie nas uczy, że

właśnie natury słabe, smętne i drażliwe mają więcéj przenikliwości od innych. Tak jak jest charakter nieboszczyka Pantofla często na szczebel karykatury spada.

W Błogosławieństwie Matki myśl główna, że Pan Bóg nie szczęści związkom wbrew woli rodziców zawartym jest prawdziwa i wysoka. Wacław łatwy do zakochania się a rychło się ostudzający, miłujący żonę a zniechęcający się jéj exaltowaném przywiązaniem dobrze został pojęty i dobrze przedstawiony. Rzecz ta smutna a jednak codzienném stwierdzona doświadczeniem, ile razy czytamy poemata i drammaty a napotykamy obrazy nieograniczonéj miłości do ciągłych prowadzącéj poświęceń, zazdrościmy ich szczęśliwéj gwiazdy ludziom uprzywilejowanym w dziedzinie serca; tym czasem zdarza się niekiedy, że sami znajdujemy na drodze naszéj przywiązanie bez granic. Czy je w ów czas uczcić i uszanować umiemy? Nie, bynajmniéj. W zwyczajnéj kolei jeśli nie zaraz to późniéj męczy nas i drażni wyłączny stósunek, gniewamy się, że nie możemy niestałością cudzą własnéj niestałości uprawnić i umyślnie odzieramy z wszelkiego uroku i wszelkiéj poezyi choćby najprawdziwsze uczucie dla tego tylko, żeby zagłuszyć w sobie głos sumienia. Rzadkie dwa serca zdolne w wielkiém i stałém przywiązaniu się połączyć! Snać Pan Bóg tak rozrządza, snać nie chce On, żeby ludzie za nadto zatapiali się w szczęściu, żeby za mocno w życie wierzyli. W oziębłości Wacława dobrze rozumiemy karę dla Katarzyny za jéj ślepą miłość. Kara jest sprawiedliwa, ale narzędziem kary zostać nie dobrze, dla tego zdaje nam się, że z Wacławem za łagodnie się pani Sztyrmer obeszła. Wyrzucimy jéj także, że Katarzynę nie dosyć zajmującą zrobiła a w odszkicowaniu matki i Felicii nie ustrzegła się przesady.

Urywki z pamiętników oryginalnie wychowanej kobiety są zbiorem uwag, maxym i szkiców rozmaitéj wartości. Panna już dojrzała, do lat 24. trzymana z daleka od świata, zapisuje swoje wrażenia i spostrzeżenia szatanka, który jéj szepce o ludziach i o rzeczach

gorzkie i zniechęcające do wszystkiego zdania. Znajdujemy i tu nieprzebrane bogactwo myśli, szczęśliwie choć nie zawsze z wytrawnym smakiem oddanych, wszakże ciągły sarkazm i ciągła analiza pozbawiają bohaterkę kobiecego uroku i w końcu zniechęcają do niéj. To hic mulier, o jakie u nas trudno, trochę więcéj mglistéj sentymentalności a miałaby ona wszystkie przymioty na blac stocking angielską.

Portret ojca jest wyborny:

Xawery C. ostatni potomek szlachetnego rodu, ukończywszy w młodości edukacią w kraju, wojażował potem kilka lat za granicą dla dopełnienia doświadczeniem tego, czego nie znalazł w książkach. Posiadając niepospolite oświecenie, obdarzony rzadką przenikliwością i nie porywczy w sądzeniu, obserwował ludzi okiem filozofa i z czasem nabył rzadkiej wprawy w ich poznaniu. Wróciwszy do Warszawy, młody, bogaty, utalentowany, pokochał namiętnie jedną młodą osobę i ofiarował jej swą rękę. Przeciw oczekiwaniu wszystkich, panna odmówiła mu, i w krótce potem wyszła za młodzieńca bez imienia, bez majątku, a co gorsza, bez żadnych przymiotów umysłu i serca, któreby mogły usprawiedliwić jéj wybór. Była to zbyt ślepa miłość i gdyby w duszy mego ojca znajdowało się tyle egoizmu, ile go zwyczajnie widać w każdym wzgardzonym zalotniku, to mógłby był pospolicie przyjętym sposobem, to jest, szyderstwem i obmową, zemścić się nad swoją ulubioną. Ojciec mój postąpił przeciwnie: przytłumił bolesne uczucia w sercu, został przyjacielem tej, która go odrzuciła i zawsze uniewinniał jej postępek. Starania jego, znaleźć przyjaciela, zostały również zawiedzione. Tam gdzie szukał otwartości, dobroci i przywiązania, spotkał fałsz, ukrytą złość i interes. Jednem słowem człowiek, co zdawało się powinien był znaleźć wstęp do każdego serca, dla tego, że mógł z niem podzielić tyle szlachetnych uczuć, nie mógł się niczego dobyć od świata, oziębł dla niego stopniowo i został samotny! Okropne to musiały być chwile, kiedy to szlachetne serce, pożegnawszy swoje ideały, porzucało na zawsze marzenia i natomiast poddawało się zupełnie pod władzę zimnego rozumu! Kosztowało go to zapewne wiele, ale raz zdecydowawszy się, unikał potem stale wszelkich związków, które, podług jego zdania, nie mogły być trwałemi. Odtąd utrzymywał zawsze, że lepiej jest obserwować miłość i przyjaźń, jak ich doświadczać, lepiej czynić dobrze drugim z miłości bliźniego, niż z innych przemijających pobudek, lepiej kochać wszystkich

niż kilku, słowem spółeczność przemieniła się dla niego w Xiążkę, którą lubił czytać, nad którą się zastanawiał, niekiedy śmiał się, niekiedy płakał i która go tyle zajmowała, że przestał myśleć o sobie.

Woleliśmy przytoczyć wykończony i wprawną ręką nakreślony zarys zupełnego charakteru jak kilka świetnych paradoxów podszepniętych przez szatanka: Xawery nic nie jest przesadzony, tylko nie należało mu słuszności przyznać. Mizantropia niezawodnie pochodzi z zawodów: na to się chętnie zgadzamy; prawda także, że tylko piękniejsze natury w mizantropie wpadają; ale za tém wcale nie idzie, żeby człowiek szlachetny miał mieć prawo i dostateczne powody zniechęcać się do ludzi. Prawdziwa miłość nie zraża się i nie mści, w mizantropii jest zawsze trochę zemsty, prawdziwą miłość prędzéj czy późniéj goimy pokojem duszy, mizantropia utrzymuje się w oburzeniu albo w ironii. Z resztą myliłby się, ktoby myślał, że na świecie zawody gorące czującego serca tłómaczą się przez fałsz, złość i interes w drugiéj osobie. Podłości są wyjątkiem i wyjątkiem rzadszym, jak się zdaje. Zawodu doświadczyć można od najszlachetniejszego człowieka. Mizantrop sam najczęściéj winien, że serce jedném uczuciem, jedném oczekiwaniem przepełnił, że pozwolił za bujnie nadziei szczęścia się rozkrzewić i los całego życia na kartę stawił. Widząc, jak ludzi, którzy nienawidzili bliźnich swoich dla tego, że im się w miłości na świecie nie powiodło, poeci i powieściopisarze na wyścigi tłomaczą, jak przekleństwami obarczają pamięć ich żon, kochanek i przyjaciół, nie raz przychodziło nam na myśl, że taki sposób widzenia rzeczy jest niski i niesprawiedliwy. Wymowne skargi obłąkają nas zwykle, żałujemy rozpaczających, nie bacząc na to, że najczęściéj na dnie oszukanéj miłości samolubstwo dyszy. Samolubstwo jest rzeczą szkaradną, potępiajmy je, ile je razy z jednéj czy z drugiéj strony znajdziemy, ale nie ubóstwiajmy Safony, Faonowi za innemi złorzecząc dla tego tylko, że Safo wolała umrzeć jak żyć bez jego miłości.

Zostaje jeszcze mówić o dwóch powieściach fantastycznych o Trupiéj główce i o Czarnych Oczach. Obie z całego zbioru najmniéj się nam podobały nie dla tego, żebyśmy przeciw rodzajowi powstawali, ale że u nas fantastyczność jest naśladownictwem, obczyzną. Różnicę między cudownością polską a fantastycznością niemiecką bardzo łatwo odznaczyć. Pierwsza żyje w podaniach i pieśniach dawnych ludu naszego, w bajkach, które młodość każdego z nas wypiastowały; chrześcijańska z oblicza nawet wtedy, kiedy się w jéj rysach jakieś odległe przypomnienie pogańskie odbija, budzi ona wiarę i prawdziwym strachem serca nasze przeraża. Nawet spokojny i bezprzestannie obowiązkami życia zajęty człowiek nie oprze się wrażeniom dobrze opowiedzianéj gadki, zadrzy, słuchając o pokutujących duszach i o wilkołakach. Druga jest czysto literacka, do nas przynajmniéj w literackiéj dostaje się oprawie. Fantastyczność niemiecka oparta na mięszaninie wszystkich podań starych i nowych o nadprzyrodzonym świecie, ma w sobie coś niepewnego, chorobliwego, skeptycznego nawet. Pisarz fantastyczny rozdrażnia umyślnie nerwy i dopiero w wielkiéj excytacyi zaczyna na pół wierzyć w swoje mary, mówimy na pół, bo i tak lada żart, lada uśmiech całą jego budowę obala. Czytelnik musi także mieć chorobliwe usposobienie nerwów i nieomal wschodnią gnuśność, żeby się zająć opowiadaniem fantastycznem, żeby w fantazyi nie będącéj skądinąd satyrą zasmakować. U pani Sztyrmer cudowność polska jest przeciwstawiona fantastyczności Niemieckiéj; obok Hoffmanowskiego pierwiastku widzimy sny i apparycye; sny sprawdzające się w każdéj prawie powracają powieści. Otóż nasza rodzima cudowność doskonale jest użyta i ma jakąś rzeczywistą barwę, fantastyczność przeciwnie ciągle na manierę wygląda.

W Trupiéj Główce występuje na scenę sierota przygarnięty przez poczciwych wieśniaków, którym najczarniejszą niewdzięcznością za starania odpłaca. Uzdolniony a samolub zręcznie kieruje sobą na świecie i wy-

chodzi na doktora. Jako doktór, żeby się osteologii nauczyć, potrzebuje trupiéj główki: po tę chce posłać żyda faktora i stróża pijaka. Żyd i faktor odmawiają. Sam więc jedzie na cmentarz do Kostnicy. Trupia główka służy naprzód Jerzemu do nauki, potém się staje gratem niepotrzebnym, w końcu jéj widok zabija starą Małgorzatę, przybraną jego matkę. Najważniejszą jednak rolę przy rozwiązaniu powieści odgrywa; bo, kiedy Jerzy przez zazdrość względem swego nauczyciela ojca własnego, a przez zarozumiałość kochankę wpędza złém leczeniem do grobu i w gniewie pięścią trupią główkę druzgocze, leżącemu w gorączce oświadcza ta kość martwa, że była głową jego matki. Jerzy dostaje pomięszania zmysłów a, wyleczywszy się, wchodzi do klasztoru. W całéj powieści nie brak pięknych rzeczy, stara Małgorzata doskonale przedstawiona; ale Jerzy odraża potwornością i tylko kara jego i nawrócenie się w części nas z nim pogodzić mogą.

Czarne oczy są oczyma zmarłéj lekkiéj kobiety: tak z jéj portretu wabią, tak za serce chwytają, że młody fantasta Dewilski długo dla nich szaleje, w końcu nawet żeni się z niemi, czém duszę nieboszczki od twardéj pokuty wybawia. W Dewilskim kocha się słodka Rózia, którą on dla czarnych oczu zaniedbuje. Rózia powoli schnie z żałości, a Dewilski od czasu swego niezwyczajnego ożenienia się wyleczony z dziwactw a raczéj z ochoty goszczenia w nadprzyrodzonéj sferze za towarzyszkę na ziemi, za prawdziwą żonę, bierze siostrę portretu o czarnych oczach. Nieszczęśliwa Rózia umiera po anielsku z wyrazem przebaczenia na ustach. Przez cały ciąg powieści Rózię cudowność polska, Dewilskiego fantastyczność otacza. Rózia jest śliczna postać zasługująca, żeby ją obok jéj imienniczki umieścić. Jéj wizya o małéj siostrze dawno zmarłéj i opis zwycięztwa, jakie nad swoją słabością odnosi, do łez poruszają: żeby nie brak miejsca chętniebyśmy to wszystko przytoczyli. Dewilski na pierwszy rzut oka wydaje się prostém naśladowaniem Niemieckiego wzoru, przypatrzywszy mu się

bliżéj, można odkryć, że prędzéj on sam stara się coś dziwacznego naśladować; jego fantastyczność wygląda na chęć oryginalności, na affektacyą, jaka cechuje ludzi bez porządnego naukowego wykształcenia a mających instynkta naukowe, próżniaków a łakomych wszelakiéj wiadomości, wątłych na ciele i na charakterze a w marzeniach swoich ciągle Ossę na Pelion stawiających. Muzyczna ochota i szczegół o kocie dowodzą, że Dewilski z korzyścią Hoffmana przeczytał. W gruncie najlepszy z niego chłopiec, nie bierzmy go na serio, on dziecko swego wieku, sam każdego czasu gotów śmiać się z siebie, nie śmieje się, bo się wszyscy na niego patrzą z admiracyą, niech odwrócą oczy a parsknie ze śmiechu. Poważna pani Szczeropolska matka Rózi, każde nieszczęście z prawdziwem poddaniem się woli Pana Boga przyjmująca, należy do lepszych kreacyi pani Sztyrmer.

Jest jeszcze na końcu całego zbioru kilka drobnych wierszy widocznie z różnych epok i pod rozmaitym wpływem pisanych. Myśli w nich często ładne, ale język nie muzykalny i nie giętki.

Nie mówiliśmy nic jeszcze o stylu w Powieściach Nieboszczyka Pantofla. Polszczyzna pani Sztyrmer jest jędrna: łatwość, potoczystość, pewność i śmiałość cechujące prawdziwy talent znać wszędzie, szczęśliwe wyrażenia często i bez przymusu się nawijają; wszakże nie brak usterek i śladów zaniedbania, powiedzieć nawet można, że autorką więcéj instynkt jak prawdziwa znajomość języka kieruje.

W utworach pani Sztyrmer (1) pochwaliliśmy nie jedną rzecz, aleśmy i nie mało naganili, tak w pochwale jak i w naganie staraliśmy się zachować miarę i spra-

(1) Szeroko rozpuszczona wieść głosi, że powieści Nieboszczyka Pantofla wyszły z pod męzkiego pióra, napróżno byłoby udawać, żeśmy o tém nie słyszeli, nieszlachetnie przytyków używać. My, robiąc tę wzmiankę, oświadczamy, że jakkolwiek umysł nasz uderzony śladami ciągłéj męzkości skłonny był nie raz do uwierzenia pogłosce, ponieważ na tytule znaleźliśmy imie ko-

wiedliwość. Sprawiedliwość nie pobłażanie wysokim talentom przystać. Kończąc powiemy, że powieści nieboszczyka Pantofla przynoszą zaszczyt powieściopisarstwu polskiemu i że nas dziwi względna obojętność, z jaką przyjęte zostały. Czy autorka napisze co jeszcze w podobnym rodzaju? Nam się zdaje, że nie. Umysł jéj jest więcéj obserwacyjny jak twórczy, w obserwacyi nawet tylko w pewném określoném kole obracać się może, odtąd już tylko powtarzałaby się, po własnéj drodze wstecz własne wydeptując ślady. Jeżeli w tém zdaniu omyliliśmy się, z radością sąd nasz odwołamy. Bądź co bądź dotychczasowe powieści wystarczą, żeby pani Sztyrmer wysokie miejsce w literaturze zapewnić. (2)

Obok powieści Nieboszczyka Pantofla fantazya P. Kraszewskiego jest drobnostką, szkicem tylko z łatwością i talentem ale od niechcenia nakreślonym. Wszelkie porównanie byłoby niesprawiedliwością dla autora, który tyle większych i lepszych rzeczy napisał, nie kładziemy przeto dwóch książek koło siebie, a wykazanie różnic między dwoma najcelniéjszymi powieściopisarzami polskimi na późniéj odkładamy.

Nad fantazyą Pod Włoskiem Niebem długo zatrzymywać się nie warto; nie wiele ona mozołu umysłowego kosztowała: kto ma choć odrobinę zdolności pisarskiéj i wprawną do pióra rękę, zdoła nie wyczerpując się co tydzień wedle recepty fejletonik podobny wygotować. Do takich rzeczy nie trzeba czekać godziny natchnienia; parę myśli zwyczajnych w nową obleczonych

biece, całą ksiażkę jako dzieło kobiety rozbieraliśmy i dopóki sama autorka inaczéj nas brać rzeczy nie upoważni, za taką je uważamy i uważać będziemy.

(2) Rozbiór nasz dosyć późno wychodzi. Nie nasza w tém wina. O książki polskie drukowane w Wilnie bardzo u nas trudno. Stósunki księgarskie w ogóle źle są urządzone, każda prowincya swojemi tylko zasobami żyje i tym sposobem ruch literacki nie ma żadnéj cechy wspólności i ogólności. Sami autorowie wglądaćby w to powinni.

barwę, jeden i drugi opis z przewodnika podróży i kilka przypomnień z własnych i cudzych książek wystarczą na zaczynienie roboty.

Oto jest treść w krótkich wyrazach:

Pan Jan czyta piątą pieśń Danta i marzy o miłości, o miłości namiętnéj:

Miłość — miłość — stworzył ją ktoś w nieszczęśliwéj godzinie i na rospacz i narzekanie wieczne tych, co głupi, łatwowierni, a podsycani nieopisaną żądzą niepojętego na ziemi szczęścia, chwytają odważnie za znikomą marę.

Miłość taka, o jakiéj nam piszą ciągle, o jakiéj marzym, jakiéj się spodziewamy aż do utrapionéj starości, co nas z raju marzeń ognistym mieczem wypędza — taka miłość to utwór niepodobny, to gryffon, to Syrena, to Centaur, jedno z tych stworzeń poetycznych, co żyją na marmurze tylko w obrazach, w słowach poetów.

To fałsz — to fałsz, nie ma takiéj miłości — a spodziewać się jéj — dzieciństwo, a wyglądać — szaleństwo, a święcić jéj życie — głupstwo.

Właśnie że Pan Jan tak gorzko wyrzeka najlepszy dowód że wierzy w miłość. Jakoż zaraz bierze jéj stronę w rozmowie z P. Adamem bardzo rozsądnym, żonatym człowiekiem.

Pan Jan woła: trzeba szukać innych ludzi.

— Powinszuję gdy znajdziesz

— O znajdę; jestem tego pewien, zawołał Jan z zapałem. — Wierz Adamie, nie cały świat, nie wszystkie kobiety zimne, lodowate jak nasze. — Cóż one winne, że się urodziły pod niebem północy? One też są mu podobne; często jasno lazurowe, częściéj chmurne, mgliste i niepewnych barw szarych, zimne, płaczliwe — ale nigdy nie ozłocą się, bo ozłocić nie mogą, płomienistemi blaski włoskiego nieba, niebios południa......

— Biedny szaleńcze —

— I cóżem winien szaleństwu memu? Od dzieciństwa książki, pieśni, powieści, ludzie, wszystko mnie kołysało, paliło, jątrzyło, jakąś idealną, potężną, silną miłością. Zacząwszy żyć, począłem jéj szukać: winienemże, iż jéj znaleść nie mogę, przynajmniéj u nas?

— Nigdzie!

— A! na Boga, nie mów mi tego; jakżeż żyć bez téj nadziei...... Człowiek ma wrodzone pragnienie jakiegoś szczęścia nieopisanego, niepojętego. Wcielić go może tylko

miłość jedna, chwila téj miłości, któréj szukam, za którą gonię, którą gotów jestem opłacić męką całego życia — więcéj może. A w koło mnie lody! lody!

— W lodzie doskonale się wszystko przechowuje, jest to pierwiastek konserwacyjny.......

— Jakżeś szyderski, nieznośny........

— Za mną byłby ogół, byłby sąd powszechny.

— Bo téż, jeźli chcesz wiedzieć prawdę, tylko wyjątki są wielkością, życiem, geniuszem, poezyją; tłumy są tłem dla wyjątków lub materią dla nich.

— Pojmuję, gdy mówisz o geniuszach, o wielkościach, ale o excentrycyzmie?

— Każdy excentrycyzm ma w sobie zaród wielkości; wszystko, co niezwykłe, dąży jedną stroną swego objawu ku czemuś wielkiemu. Ludzie, żeby im nie wstyd było, wyśmieliby wszystko, co nie idzie ich drogą. A śmiech, to broń potężna u ogółu........

Cóżem winien? powiedz sam — com ja winien? Na co poeci, na co pisarze, na co świat cały, spólnik tego ohydnego oszukaństwa, za młodu ukazuje nam w powietrzu ideał niedościgniony! Wszak nie jeden, jak ja zapewne, zapali się tą miłością ku miłości i zginie lecąc ku niéj jak ku ogniu błędnemu? — Wszak nie jeden popsuje życie całe nadzieją i zawodami, przeklnie zużytą marnie młodość, przepłacze starość bez wspomnień. Na co malujecie niebyły, nicości, ideały? To zdrada niegodna?........

— Tyś nic nie winien, przyznaję owszem, żeśmy my winni! Masz słuszność, cały świat jest w téj spółce oszukaństwa, a świat, jak wiesz, dzieli się na dwie wielkie kategorye, — oszukiwanych i oszukujących......... Co myślisz robić?

— Jadę szukać miłości.

— To przynajmniéj oryginalnie! Dla czegoż by nie czekać jéj na miéjscu?

— Wierzę we wpływy klimatu, jadę do młodszego kraju — tu zimno. —

— Każ zapalić na kominku.

Jan odjeżdża. W Polsce zostawia Emilię, którą kochał, a któréj, jak powiada już więcéj kochać nie może, dla tego, że jest dziewczyną z północy. gdzie kobiety dzielą się na dwie kategorye, na zimno poczciwe i zimno występne. Rusza prosto do Rzymu i tam szukając kochanki, jakiéj na podsłonecznym nie bywało świecie, napotyka przypadkiem dziewczynę z za Tybru

we wszystkie wdzięki i powaby prawdziwéj Rzymianki obficie strojną. Pepity strzegą dwa Argusy chciwy opiekun i zazdrosny kochanek, ale jak oczewiście ich ostróżność do niczego nie prowadzi, dziewczę oddaje serce jasnowłosemu Polakowi i po wielu trudach i niebezpieczeństwach z Rzymu z nim ucieka. Na ustroniu, w odludnéj willi kilka miesięcy Jan przy Pepicie wszystkich swych ideałów urzeczywistnienie znajduje, ale powoli dziewczyna zaczyna tęsknić za gwarem miasta, za pustotą, za uciechą, którą się z innemi podziela i objawia życzenie powrócenia do miasta; Jan wzdycha opiera sie trochę, ale w końcu ulega. Osiadają w Rzymie. Z początku gości jeszcze z niemi miłość; powoli Pepita zaczyna myśleć o innym świecie, jak świat ich wspólnego przywiązania obraz Jana zacisza się w jéj sercu. Nadchodzi karnawał, Pepita wybiega na ulice, spotyka młodego Trasteweranina; z początku nie chce go słuchać, potém na jego słodkie słowa ucho otwiera, w końcu opuszcza Jana i idzie za Luciem, który się z nią żeni. Jan z marzenia rozbudzony, wszelką chęć do życia traci, tęskni, żałuje przeszłości i w końcu wpada w nieuleczoną chorobę.

Po co żyć, kiedy nie ma celu do życia, kiedy się przyszło do téj rozpaczy, co wiarę w siebie, w świat, nawet w przyszłość odbiera?

Jan na bliski przewidziany zgon patrzał zimno, obojętnie, jak się patrzy na zachodzące słońce — ale bez myśli o jutrzejszym wschodzie.

W Koliseum spotyka Jan mnicha z siwą brodą, który mu rozmyślanie polskim niech będzie pochwalony Jezus Chrystus przerywa. Opowiada mu swoje życie a Starzec wysłuchawszy smutnéj historyi tak się odzywa:

Bracie mój, prawa miłość żywi, namiejętna zabija i truje.

— Lecz prawa chłodna mój Ojcze?

— Nie chłodna, ale wstydliwa jest — a namiętna nie stała i bez jutra. Pierwsza starzeje w szacunek, druga się zmienia w zdradę. A potém, bracie, możnaż tém jedném uczuciem żyć?

— A! można! Jam niém żył.

— Srogo to, srogo u grobu ostréj prawdy mówić słowem. Lecz o duszy twéj nieśmiertelnéj myślę, i daję ci lekarstwo, choć późne i gorzkie. — Bracie mój, nie godzi się żyć na świecie jednym z sobą, dla siebie, dla namiętności swojéj tylko. Życie powinno być poświęceniem ciągłem, chceszli prawego szczęścia, trwałéj rozkoszy, jaką daje wewnętrzne poznanie swéj wartości. — Słuszna naówczas duma człowieka. Życie na jedném samolubném uczuciu, to żywot jedwabnika, co się drugą swą nicią sam na śmierć obwija. O Boże mój! miasto umierać z rozpaczy, nie znalazłżeś tysiąc śmierci pięknych, użytecznych braciom i społeczeństwu. coby świeciły potomnym gwiazdą przykładu? Bracie mój, Bóg ci przebaczy zapewne zmarnowane życie, ale świat nie. Świat cię zapomni, jak ty zapomniałeś o świecie.

Jan słuchając zapłakał, uczuł on słów tych prawdę i upokorzył się w duchu.

Jan umiera na rękach mnicha. Na wieść jego zgonu Emilia przywdziewa żałobę i gaśnie we łzach modląc się zawsze za duszę kochanka. A Pepita? Pepita, co karnawał z innym kochankiem Corso przebiega.

Z przytoczeń łatwo zobaczyć, że myśl pierwsza powieści jest prawdziwa. Gdyby jéj był autor nigdy z oczu nie tracił, gdyby był w całym ciągu szedł za tą gwiazdą przewodniczką, utworzyłby był rzecz nie tylko zajmującą, ale i dobrą, użyteczną. Tymczasem jakże sobie postąpił? Oto, morał na koniec odrzuciwszy, cały interes ściągnął na spis chwil upojenia Jana i Pepity. Szaloną ich miłością bawi się, najzmysłowszych kolorów, i słów bezwstydnych prawie dobierając i dopiero kiedy fantazyą rozbudził, kiedy krew rozdrażnił obrazami, jakich się nigdy bezkarnie przed oczyma nie przesuwa, kilka wyrazów uczciwych jakby jałmużnę od niechcenia rzuca. Wybornie pojął charaktery Pepity i Emilii, czemuż Pepitę odmalował z całą gorącością i śmiałością pędzla zakochanego malarza, jak Raphael Fornarinę, kiedy o Emilii wspomniał zimno i nawiasem tylko, nie wprowadzając jéj prawie na scenę? Powieść pana Kraszewskiego jest niestety, jak zwykle u niego, Apoteozą zmysłowości i bodaj czy nie wyśmianiem prawdziwego uczucia.

W szkicu, jakiśmy przedstawili naszym czytelnikom, nie wspomnieliśmy o podrzędnych osobach do powieści wchodzących. Żadna z nich nie ma rysów uderzających prawdziwém jaśniejących życiem. Stary bankier, który Pepitę kupuje, zazdrośnie zamyka i szaleje potém, kiedy ją utracił, przesadzony i podobny do Malepaty; dwaj artyści francuscy wyglądają jak przekopiowani z francuskich romansów, o innych i wspomnieć nie warto.

Opisy Rzymu są zupełnie chybione, znać, że tylko z wyobraźni autor je kreślił, co więcéj pomimo dosyć zręcznego unikania wszelkich wyraźniejszych miejscowych okoliczności co chwilę on omyłkę jakąś popełnia. Obraz karnawału fałszywy. Kto nie był w Rzymie w epoce karnawału, kto nie widział rozhukanego tłumu rzymskiego, pijanego wesołością a jednak szanującego granice wszelkiéj uczciwości, ten nigdy nie zrozumie rzeczywistéj w téj mierze prawdy. Karnawał rzymski nie jest Bachanalią, nie jest rozpustą odrażającą skromniejsze oczy, nie jest starem zepsuciem; to niewinne, choć puste szaleństwo młodości tak pełnéj życia, że niepotrzebuje żadnych podrażnień. Pan Kraszewski nocy całe chałaśną ochotą karnawałową zapełnia; omylił się; tłum karnawałowy szaleje tylko w jasny dzień, w obliczu słońca, którego się nie wstydzi wesołość rzymska. Zawsze o zmroku wystrzał z dzieł oznajmia koniec zabawy i w téjże saméj chwili posłuszne gromady rozpierzchają się spokojnie do domów.

Wyrzucimy jeszcze autorowi, że niby za powód do swojéj powieści wziął ustęp z Boskiéj komedyi o Franciszce z Rimini, ustęp, który zresztą bardzo miernie prozą na początku przetłomaczył. Taka niewstrzemięźliwość, takie lekceważenie uchodzi pisarzom poczynającym, którym trzeba jakiegoś pretextu do pisania, którym o zaczęcie najtrudniéj; u weterana powieściopisarstwa nie rozumiemy ich zupełnie.

Styl w powieści p o d W ł o s k i e m n i e b e m jest jak zwykle u pana Kraszewskiego łatwy, potoczysty i mniéj więcéj poprawny. Do wielkiéj pełności polszczyzna jego

nigdy nie dochodzi; wszakże ogrzewa się czasem i ozłaca blaskiem prawdziwego talentu. Kończąc nasze uwagi powtórzymy, cośmy już z resztą mieli sposobność powiedzieć: że żałujemy, bardzo żałujemy, że pan Kraszewski marnuje niepospolite zdolności; jaka szkoda; że tak wiele, że za wiele pisze.

John of Dycalp chce koniecznie u nas humorystyczność angielską zaprowadzić, goni za nią, sili się nieustannie i czasem na drodze udaje mu się spotkać jakąś myśl szczęśliwą, jakiś ciekawość obudzający wyraz; zwykle jednak gubi się w przesadzie i manieryzmie. Co nas najwięcéj u niego uderza, to brak siły twórczéj; pierwsze zawiązki powieści są dobre, w szczegółach nie raz na ślad pomyślny wpada, ale jak tylko ma utworzyć pewną całość, nie umie ani rozmiarów dać, ani charakterów utrzymać, ani myśli jednéj od początku do końca przeprowadzić.

D o k t ó r P a n t e u s z w p r z e m i a n a c h wielce przypomina jeden z ustępów Frenofagiusza pani Sztyrmer, myśl tylko Johna of Dycalp wyżéj sięga a przynajmniéj wyżéj się wdziera. Panteusz urodził się na planecie większym, jak ziemia, na którym żyją istoty bezrodzajowe. Na tym planecie kwitnie filozofia i Panteusz wykłada ją w uniwersytecie. Równie jak na naszéj budnéj ziemi i na planecie Panteusza nie wszyscy są jednego zdania. Kolega naszego filozofa zacięcie walczy z jego systematem, oskarżając teorię absolutu wielkiego doktora o utajony panteizm. Rada uniwersytecka wzywa Panteusza do tłómaczenia się i zasady jego potępiwszy w urzędzie go zawiesza. Prześladowanie rozżarza tylko zacięty spór przeciwnych systematów, i dochodzi do tego, że nieprzyjaciele Panteusza opierając się na jego teoryi, że śmierć jest bacznem, albowiem w każdym pyłku znajduje się cała wieczność ze wszystkiemi jéj atrybutami, przeszłością, teraźniejszością i przyszłością wyzywają go, żeby na sobie założenie własne sprawdził i co prędzéj się zabił. Biedny filozof, i tu poznajemy, że się nie na naszéj urodził ziemi, choć niechętnie logiczne następstwo swo-

jego zdania przyjmuje i życie sobie solennie odbiera. — Ledwie że zamknął oczy staje przed nim anioł śmierci z oświadczeniem, że za karę będzie musiał przejść przez najniższe szczeble stworzenia. Jakoż wyraz zaraz się dopełnia i Panteusz w kształcie kropli deszczowéj na ziemię spada. Kropla dostaje się na fijołek wychodzący z ziemi, tym sposobem Panteusz wsiąka w trawę.

Gdybyć dla osłodzenia tego smutnego stanu wyrok, co mnie tak zniweczył, był mnie przynajmniej choć porównał skromnem i zupełnem pobratymstwem myśli z trawami! Ale czuć się filozofem a być trawą, czuć się powołanym i w siłach do radykalnéj reformy systematów filozoficznych a ulegać, bormyślnéj radości, na równi z całą tą zieloną tłuszczą, na widok wschodzącego słońca, lub podczas obfitego deszczu i nie mieć innego celu w życiu, prócz wzrostu do góry na tak nazwaną chwałę Bożą i rosnąć, a rosnąć na jednéni miejscu, w zakątku, w ukryciu, szemrząc za każdym powiewém wiatru, jedne a jedne dzięki panu Bogu za to, że stworzył cię trawką, że ci dał tę ładną zieloność, że wskazał pewny zamiar, pewny pożytek na świecie, że raczy pamiętać i o tobie biednéj trawie i przyjmować od ciebie woń modlitwy i uwielbienia. — Ach! wola wasza, ale lepiejby już być kamieniem........ Wszystkie trawki, zioła i kwiaty mają tę niewiadomą wam własność, że głośno myślą. Podobało się to wam, waszéj nomenklaturze bez marzenia nazwać zapachem.

Świętojański robaczek ścina trawkę i doktór prawem dla swojéj mutempsychozy naznaczoném przechodzi w świecący owad. Jako robaczek podsłuchuje miłosnych rozmów Leona z Natalią, między któremi wcale różnicy płci nie pojmuje. Robaczka połyka skowronek, skowronka zjada kot, którego znowu orzeł potém porywa. W przemianie orléj towarzyszy Panteusz wojskom w kampanii 1812. roku, w téj kampanii Leon ginie. Wierny koń Leona zabija orła i Panteusz zostawszy koniem odbywa sławną rejteradę z wielką armią. Wynędzniały dostaje się do wsi Natalii, gdzie ścierwo rzucają na pastwę wilkom. Jak oczewiście przemienia się zaraz w wilka a dopiero z zabitego wilka zostaje Stanisławem, bratem Leona. Stanisław kocha się w Natalii i ona go skrycie kocha, miłość ta bez nadziei do zguby ich prowadzi,

jakoż Stanisław topi się i wtedy ostatnia następuje przemiana, Panteusz wchodzi w Natalią, która dostaje pomieszania zmysłów i umiera.

W téj chwili dotknął zleka mych oczu tenże sam anioł śmierci, którego skrzydła przeniosły mnie na ziemię. — Cóż doktorze Panteuszu! — rzekł mi z łagodnym uśmiechem — czego też mędrzec z krainy absolutu może się nauczyć na téj biednéj ziemi? — Ach tak cierpieć, czuć i kochać, odpowiedziałem ukorzony.

Szkielet powieści nadzwyczajnie wiele obiecuje, wykonanie zupełnie oczekiwaniom nie odpowiada. Początek jest najlepszy. W kłótniach dwóch filozofów, w opisie sądu rady uniwerzyteckiéj nie brak lekkiego dowcipu; pierwsze przemiany także w dobry sposób jedna się z drugiéj wywijają, w dalszym ciągu opuszcza autora szczęśliwe natchnienie i napotykamy szereg dziwactw niesmaczną gadaniną przeplatanych. Panteusz jedne rzeczy na świecie rozumie, drugich pojąć nie może, dla czego? to dla nas zagadką zostaje. Opis kampanii 1812. roku znajdujemy niepotrzebny i niegodny. Podchlebstwo zawsze za brzydką rzecz uważamy, ale się ono przynajmniéj trafnością wytłómaczyć czasem daje. W tym przypadku podchlebstwo niezręcznie przyczepione jest tylko prostą płaskością. Zresztą, kiedy już autor chciał koniecznie pochlebiać, wolelibyśmy byli, żeby hymn pochwalny do bohatera, w którego szeregach ziomkowie jego walczyli, był zwrócił. — Romans Leona z Natalią znajdujemy źle przyczepiony i nie dosyć zajmujący. Niewarto było wielkiego Panteusza w taką drobną przygodę miłośną plątać. Studencka rozpacz Stanisława nie mogła mu dać dostatecznego doświadczenia, co to jest cierpienie na świecie.

Wogóle powieść Johna of Dycalp jest chybiona, obiecuje więcéj jak daje i coraz mocniéj nas przekonywa, że nie dosyć mieć zdolności, żeby stwarzać. Krytykować może każdy, kto posiada trochę dowcipu, ale tworzyć ten tylko zdoła, kto jakiś cel szlachetny przed sobą widzi.

W obrazach Wincentego Pola są rzeczy po największéj części znajome naszéj czytającéj powszechności z rozmaitych pism czasowych. — W tym pierwszym tomie znajdujemy tylko same drobne powiastki; wszakże tyle w nich poczciwych chęci, takie szczere polskie uczucie, sposób tak miły i łatwy, co więcéj, takie zasoby prawdziwego doświadczenia, że się je z przyjemnością, z korzyścią nawet czyta. O czterech pierwszych nie wiele mamy do powiedzenia, ile, że nie bardzo smakujemy w rubasznościach, jak dykterya o trefnisiu albo opis obiadu czwartkowego, których historyczność jest nam nieco podejrzana. Daléj idzie powieść p. t. Karusia i ta zasługuje na bliższe rozpatrzenie.

Pan Władysław, bogaty młodzieniec w liczném gronie młodzieży lubiący wesołość i pohulankę, przyjeżdża nocą do domu swego na wsi, gdzie się jego zupełnie nie spodziewano. Przy kominku wszczyna się gawęda o ożenieniu. Władysław, którego towarzysze namawiają, żeby się żenił, odpiera natarcie oświadczeniem, że nie może, bo jeszcze kocha. Ten początek zwierzenia się prowadzi go do wyspowiadania się z całego życia. Oto ustęp z jego historyi:

Życie moje poszło krzywo, lubo widzi Bóg, żem go nie skrzywił sam. Cała przeszłość moja jest mi w téj chwili tak obecną, iż cieszę się, że nie jestem samotny, bobym może zapłakał; a łzami pogardzam, bo czuję w sobie natchnienie siły. Obraz nieszczęśliwego stadła widziałem w mych rodzicach: ojciec mój był człowiek bogaty, gwałtowny i dumny; ożenił się dla majątku i połączeń familijnych, nie dbał o matkę moją, obchodził się z nią źle i nieludzko, podróżował, kochał się całe życie i grał namiętnie w karty, tracił fortunę i tracił wszystko. Dom jego był na wielką stopę urządzony, jeden z pierwszych domów w Warszawie. Tam wykarmiła mnie matka moja łzami..... W takim świecie wyrosłem do lat trzynastu, nie pojmując właściwie, czy życie jest balem maskowym, czy torturą. W tym właśnie czasie przyciskali dłużnicy ojca mojego najmocniéj, znał on dobrze stan swojego majątku i nie chciał czekać kryzy: Nie chciał patrzeć w kraju na upadek swojego znaczenia, bez którego nie widział dla siebie żadnéj przyszłości. Zabrał srebra, klejnoty matki, zrobił kilka długów i wyjechał do

Paryża, gdzie po dwóch latach w więzieniu świętéj Pelagii życie zakończył. Zacny i światły człowiek generał M. został opiekunem moim..... Prócz poczciwego generała M. nie odwiedzał nikt domu naszego, on zajął się wychowaniem mojém, które dotąd Frąncuzi i kamerdynery ojca mego prowadzili i dał mi za towarzysza Leona, syna przyjaciela swego. Nowy świat wszedł przedemną; literatura i historia, sztuki i umiejętności zajęły całą duszę moją; uczyłem się z przyjacielem, czytywałem z matką po wieczorach książki. Miłość matki, poezya, ogródek, samotność, przyjaźń, natura, to było życie!.... Po kilku leciech zdałem examin i zostałem na uniwerzytet przyjęty. — Kto żył w tamtych czasach, umie to ocenić, jak szlachetną była dążność naukowa ówczesnéj młodzieży, co za zapał do literatury, jakie pragnienie zbogacenia wiedzy gruntowną nauką, co za pomoc wzajemna w ułatwieniu sobie dróg i środków ukształcenia się! Szczęściem wskazał mi generał M. grono takiéj młodzieży i taki rodzaj towarzystwa stał się ideałem moim. Leon przewodniczył mi we wszystkiém: wiekiem starszy, nauką wyższy, z towarzystwem naukowéj młodzieży dawniéj obeznany, przodkował on wszędzie; ja też pokochałem go z całym szałem tkliwego serca, z całém urojeniem, w jakiém młodość wdzięki wiecznie trwałéj przyjaźni sobie wyobraża. W czasie gdym już rozpoczął zawód mój uniwerzytecki, począł bywać w domu naszym czasem xiądz Pijar B. z generałem M.; przyjaciel jego, człowiek światły. Ludzi podobnych jemu nie zdarzyło mi się późniéj widzieć nigdzie wiecej, wychodził on niby ze starożytnego świata, a jednak sięgał duchem wyżéj, niżeli ów czas, który w oczach naszych był czasem najwyższego postępu. Człowiek światły jak złoty wschód słońca, poważny i przystępny jak starożytny kościołek wiejski, spokojny jak sumienie prawego człowieka, a w pożyciu łatwy jak młodość niewinna, a dobry jak matka, w nim ujrzałem obraz apostolskiego człowieka; religijne wyobrażenia moje nabierały hartu. Dotąd słyszałem tylko lub czytywałem o cnocie, rozprawiałem sam nieraz o niéj, wyobrażałem ją sobie w najwyższych tylko poświęceniach, jakich człowiek jest zdolny; ale nie pojmowałem tego, żeby mogła być cichą i prostą, jak staranie około krzaku róży i ludziom w codziennych kolejach życia potrzebną i wspólną, jako chleb powszedni. Xiądz pijar sprowadził mnie na takie myśli, nie słowami, nie tém, co mi mówił, ale tém o czém mi nigdy nie mówił. Zwolna naprowadzał on mnie na drogę rzeczywistości i przekonywał, że dobre nie zasadza się na tem, ażeby czekać sposobności zrobienia

czegoś nadzwyczajnego, albo szukać jéj, lecz na tém, żeby nie opuścić najmniéjszéj zręczności zrobienia czegoś dobrego. — „Za cnotami nie należy gonić, mawiał on mi często, bo to próżność; dosyć będzie, jeśli się znajdzie cnota, kiedy jéj potrzeba, a potrzeba jéj będzie często w życiu dla siebie i dla drugich; miéj co dać, a znajdzie się komu. Oświeconemu człowiekowi nie przychodzi trudno poznanie obowiązków jakie ma: ale dobry tylko pełni je, jak należy. Od poznania do woli i czynu, to daleka droga. Dobrą wolę potrzeba ćwiczyć, aby silną była, to jest cała nauka i tajemnica życia i cnoty. Wy młodzi to i zginąć czasem umiecie, kiedy tego potrzeba, albo i nie potrzeba: ale cóż, kiedy żyć nie umiecie, bo to trudniéj...... Pisz dziennik, a od czasu do czasu odczytuj go. Jeżeli po odczytaniu rad z siebie będziesz, to dobrze; jeżeli poczniesz go staranniéj chować i zamykać, to nie szukaj roztargnienia, naówczas oddaj się pracy, staraj się zrobić coś takiego, coby doraźną korzyść bliźniemu przyniosło, a dobrych spraw twoich nie zapisuj w dziennik.“ Posłuchałem go i błogosławię dotąd pamięć jego.

Władysław opowiada daléj jak poznał i pokochał siostrę Leona Julią. Z Julią rozłączyły go wypadki; posłyszał, że poszła za mąż, i sam w rozpaczy poszedł do wojska, długo służył, w końcu odziedziczywszy znaczny majątek na wsi osiadł.

Ledwo się skończyło opowiadanie, zbieg dziwnych okoliczności zséła Julię i jéj ciotkę w pobliże domu Władysława i Władysław w bardzo romansowy sposób od zbójców te damy ratuje. Jak się potém rozjechali bez bliższego porozumienia się, jak Władysław znowu dawną kochankę spotkał, jak w końcu przekonał się, że Julia zawsze jest panną i że wierną mu pozostała, długoby było rozpowiadać. W ogóle wypadki powieści są bardzo niezręcznie sklejono, ale dosyć dziejów płodości Władysława, żeby jéj rzeczywistą dać wartość.

Ukraińskie opowiadania Semena mają dużo koloru i życia, wyraźnie autor słyszał kiedyś od kozaków wszystkie te dziwne historie.

W szkicu nie źli są ludzie, idzie o bal na cel dobroczynny. Dużo tam postaci przewija sie przed oczyma, dużo rozmów o rozmaitych rzeczach autor w treść

wkłada, ale jeźli osoby mniéj więcéj dobrze uchwycone zostały, w rozmowach nie znajdujemy téj prostoty, jakiéjbyśmy po autorze pieśni Janusza mieli prawo się spodziewać. Kobiety szczególniéj za wiele się z wiadomościami popisują i za łatwo pozwalają sobie upokarzać ludzi, o których zkąd innąd może sprawiedliwie myślą, że nie mają wysokich i delikatnych uczuć. Prawdziwa wzniosłość umysłu i serca, prawdziwa dobroć w obejściu nie pozwala na podobną fanfaronadę. My szczerze wyznajemy, że ze wszystkich typów kobiecych najmniéj nam się podoba typ sentymentalnych moralistek, gotowych zawsze pięknemi zdaniami, choć prawdziwemi, na korzyść swojéj miłości własnéj śmiesznych ludzi albo egoistów mięszać i poniżać.

Myślimy, że ustęp wyżéj przytoczony, da dostatecznie poznać sposób Wincentego Pola. Takie drobne szkice jak jego obrazy nie zdołają wytrzymać surowego rozbioru; to też nie sądząc ich ze stanowiska literackiéj krytyki, poszukajmy tu i owdzie serdecznych i uczciwych myśli, a obfity plon uzbieramy i zamkniemy książki z prawdziwą wdzięcznością dla pisarza, za to że nas wiele nauczył, że wiele dobrych rzeczy pamięci naszéj przypomniał.

Gdyby zbiory wierszy drukowane od lat kilkunastu zasługiwały kiedyś na uwagę i wzmiankę, pisarze następni musieliby osobny cykl w historii literatury, cykl Dziadów utworzyć. Liczba naśladowań poematu Mickiewicza dziś już jest trudna do oznaczenia, z czasem się ich jeszcze więcéj niezawodnie namnoży. Niedołężna to robota i ckliwość obudzająca, ale utyskiwanie w téj mierze nie na wiele się przyda. Wzniosłe dzieła są jak wysokie góry, które wszystkiemu panują i wszędzie zazierają. Chcieć zaś, żeby mierność i fałszywe natchnienie szanowały prawdziwie wielkie utwory i purpurowego tego płaszcza na szmaty dla siebie nie darły, jest to chcieć niepodobieństwa.

Mamy przed sobą w téj chwili Poezye Pana F. Ł., na czele których znajdujemy bezkształtny urywek p. t.

Wieczny Młodzieniec w każdym ustępie, w każdym niemal wierszu trzecią część dziadów przypominający. W Prologu nie wiemy, po co pokutujący duch giaura wraca na świat i ludzi zaraz u wrót widmem Bajronizmu straszy. Są w tym prologu wiersze jak:

Leilo mów czy mnie widzisz?
Może naga mnie się wstydzisz.

Sam poemat zaczyna się od modlitwy małego Józefka wielce podobnéj do modlitwy Ewusi w dziadach; daléj idzie jakieś panteistyczne widzenie Jana, sen na jawie dosyć wdzięczny. Janowi zdaje się, że krzewy obwijają go swemi gałązkami, że kwiaty do ust mu się cisną a wody cudnie dla niego śpiewają. Mówi on:

Na obłokach, jak w puchach, układam me skronie,
I wichry mię kochają, wieją na mnie wonie,
I żyję razem z niemi! — ach ziemię obiegam,
Odwiedzam księżyc, gwiazdy, do słońca przylegam,
I cały świat w dłoń biorę, i z sobą unoszę.
Uściskałem się z Bogiem! — roskosze! — roskosze!

Sceny zmieniają się co chwila i to tylko zamęt robi. Poeta powinien sobie zadać tyle pracy, żeby wszystkie części swego dzieła zlać w pewną jedność nie tylko treści ale i formy; mnogość niepowiązanych z sobą obrazów, lekkomyślność, brak prawdziwéj siły albo niewykształcony smak pokazuje. U starożytnych nie znajdujemy takiego zaniedbania, starożytni czuli godność formy i choć ich wielkie oczekiwania i wielkie wypadki nie mniéj jak nas niepokoiły, drażniły, bolały, nie dawali szkiców za malowidła, tłómacząc się gorączkowém usposobieniem umysłów i wymagalnościami przyspieszonego życia. Dzisiaj poeci większéj używają swobody, wolno im nie wykończać i na pół wykończać, wolno myśli nie rozwinięte rzucać, formę łamać i naginać, wszakże jest granica zdrowego rozsądku, któréj przekraczać się nie godzi. Kiedy kto na przykład pomysły swoje w szeregu obrazów przedstawia, powinien w każdym pojedyńczym obrazie zawrzeć choć cień myśli i niesłychanie nadużywa pozwolenia, umieszczając scenę, jak ta, którą dla ciekawości wypisujemy:

Pokój, wieczór.

Młodzieniec i *Dziewica.*

Młodzieniec (sam).

Już ósma — jéj niewidać.

(Przestaje czytać Książkę i przechadza się po pokoju. Słychać lekkie stukanie do drzwi).

Przecie!

(Otwiera drzwi, wchodzi dziewica, zasłoniona woalem, kłania się uprzejmie i uchyla woal).

Jezus! Marya!

Dziewica.

Ach! (*ucieka*).

Jest w Wiecznym Młodzieńcu i scena zebranych przy ponczu przyjaciół, zakończona proroczą pieśnią o przyszłości, jest i improwizacya. Na końcu owo bogobojne dzieciątko Józef, wyrosłszy na wątpiącego młodzieńca, koniecznie wyzywa Boga na cud, w imieniu całéj ludzkości przemawiając. Pan Bóg pijanemu dumą nie daje żadnego znaku; więc Józef wykrzykuje, że nie ma Boga i wpada we wściekłość:

Gdzie jest Bóg! — jest Bóg? — nie jest Bóg!
Jest? — nie ma? — nie ma? — jest? — Bóg — Bóg.
Szaleństwo!
Męczeństwo!
Przekleństwo!
Wściekłość!

W inwokacyi Józefa odzywa się czasem odgłos prawdziwéj rozpaczy; bo język zwątpienia wszyscy dziś znają; bo najniewprawniejsza nawet ręka może władać tą straszną bronią. Cóżkolwiekbądź, cały poemat jest tylko sileniem się pospolitéj wątpliwości chcącéj się wzbić do wysokości gorących zaprzeczeń Konrada. U wielkich umysłów chwilę zawrotu głowy zrozumieć łatwo, ich Pan Bóg najtwardszemi doświadcza próbami, zkądinąd Owidiusz jeszcze powiedział:

Nullum magnum ingenium sine mixtura dementiae; ale do szaleństwa dumnéj niemocy dojść może każda chora głowa choćby i najmierniejsza.

Wiersze różne są wszystkie na tém samém kowadle co Wieczny młodzieniec ukute. Przenośni w nich, szumu, nadużycia wyrazów pełno. Co chwila napotykamy

Un beau rien renfermé dans de grandes paroles.

Pan F. Ł. szczególniéj nadużywa burz, błyskawic i piorunów. Żartobliwy Francuzki student wykrzykuje nieraz. Que l'arc-en-ciel me serve de cravate; Pan F. Ł. bez śmiechu woła:

Ja się nie lękam,
Szaloną burzą odziany
Błyskawicą opasany
Pieśnią na obłokach kiękam.

Wiersze Pana F. Ł. nie wszystkie są złe i przesadzone, szukając dobrze, można w nich nie jedną piękną rzecz znaleść. Przytoczymy na przykład ostatni kawałek Przesilenie, pokazujący, że w gruncie Pan F. Ł. czuje żywo i prawdziwie i tylko głos w piersiach za gwałtownym krzykiem zrywa.

Gdy z własnej winy, lub losów koleją,
Znalazłeś zgubę w twém sercu namiętnem.
Gdyś się z ostatnią pożegnał nadzieją,
I spojrzał na świat okiem obojętnem;
Jeżli chcesz jeszcze uniknąć szaleństwa:
O bracie nie trać ostatniego czasu,
Tylko weż brzemie na siebie męczeństwa,
I idź z niem w czyste pole, lub w głąb lasu.
Tam klęknij, ręce wyciągnij do góry,
I patrz się w niebo — pod niebem, wysoko,
Będą przeciągać żeglujące chmury:
Ty będziesz klęczał i utkwisz w nich oko.
I młodzieńczego życia całe dzieje,
Łzy i rozkosze, zwątpienia, nadzieje,
Staną ci w piersiach kamienną opoką:
Ty będziesz klęczał — i westchniesz głęboko!
I zda się tobie że od twego łona
Aż pod niebiosa struna naciągniona
Z wnętrzności, które są w tobie poprute
Ty będziesz klęczał i czuł je wysnute!
I po tej strunie, po własnych wnętrznościach,
Poczniesz się zwolna w niebo spinać duchem,

I będziesz szukał kogoś w wysokościach,
I myśl twa będzie drgała tym łańcuchem;
I będziesz słyszał i czuł, jak ostatki
Strun przyczepionych do żywota twego
Będą się rwały u łona samego:
Ty będziesz klęczał i czuł bóle matki!
Usta rostworzysz, rozepniesz ramiona
I padniesz na twarz, a gdy pokłoniona
Łez twych potokiem zaleje się mnogim:
Już na wiek wieków zbratałeś się z Bogiem.

Nie jasne to wszystko i niewytrawione; ale pomimo pewnego przymusu w obrazowaniu poetyczne instynkta objawiają się w kilka połyskach.

W ogóle wiersze Pana F. Ł. są gładkie i dosyć śmiało rzucone; ciągły szum wyrażeń nie raz im daje pozory natchnienia. Gładkość i śmiałość zwykle u nas niewprawne umysły porywają, dla tego poczytaliśmy sobie za obowiązek surowo cały zbiór osądzić.

Wiadomości bieżące.

Wyszły niedawno w Paryżu (w drukarni Lawar et Cie) dwa szczególne poemata dramatyczne, *Dwa Akty i Szymon Konarski, obraz I. śmierć X. Trynkowskiego;* oba są przypisane Adamowi Mickiewiczowi, w obu upatrujemy jedne myśli i jeden sposób, myśli i sposób autora *Xiędza Marka* i *Srebrnego Snu Salomei.* Nie znamy bliżej wewnętrznych dziejów Towiańszczyzny, dla tego trudno jest nam bardzo wszystko zrozumieć i wszystko z właściwego ocenić stanowiska, to pewna, że i *Dwa Akty* i *Śmierć X. Trynkowskiego* mają za cel poruszyć Wieszcza Dziadów obrazami wszystkich świętości, którym dawniej hołdował i wyzwać go z mistycznego koła, w którém zużywa serce wielkie i umysł potężny. Szkoda, że poeta nie odegnał daleko od siebie przypomnień współzawodnictwa, że jeszcze go boleść dawnych ran dolega; nie raz zdaje się, że dla tego tylko zasługi i wielkość Konrada podnosi, żeby uznając siebie za zwyciężonego pokazać, że jedynie taki zapaśnik był w stanie o ziemię go powalić, nieraz źle tajoną goryczą przykro nas uderza.

W tych nowych utworach autora *Beniowskiego* wszystko jest szczególne, myśli, wyrażenia układ i rytm. Wstęp do *dwóch aktów* tak się zaczyna:

Wczoraj wziąłem papier i kreśliłem kółka,
Pióro me biegało jak po trawce pszczółka,

A papier się zmarszczył jakiemiś kryskami,
Poczerniał od plamek i pokrył znaczkami,
Niewiem z kąd wyrazy to pióro czerpało,
Śmiało szedłem za niém bo ono pisało,
Papier nabrał życia i porósł słowami
A nim je odjąłem on zakwitł myślami.

W akcie pierwszym Konrad *chory*, *z siniałą twarzą* marzy:

Jam Boga z Niebios porwał
I do piekieł popchał...
Na ołtarzu stanąłem ja świata......
I dobrze mi było bez Boga,
Bo ja się nim stałem;
Przedemną jedna była tylko droga
Już miałem wszystko ale Polski chciałem.

Konradowi roją się przypomnienia improwizacyi z Dziadów. Lekarz słucha jego mowy bezładnéj, ale nic pojąć nie może i obchodzi. Przed Konradem staje wtedy Czarnoxiężnik Andrzej i mówi mu, że jest Chrystusem, a on, Konrad, duchem Apostoła Jana. Konrad mu na to:

Tyś Bóg prawdziwy, nie dla mnie, dla ludzi
Oni cię słuchać muszą, bo ja im nakażę,
Wydrę im rozum ....
Poddajesz się méj woli wyższy niby duchu,
Zgadłem cię przez szkiełka w których farby ciemne,
Smutniej się łamią niż kości w łańcuchu,
I kirem pokryły wejrzenie nikczemne.....
Dziś świętość twą śpiewam bo ją jutro zduszę.

Konrad dodaje jeszcze, *że nie znał Boga póki nie znał Andrzeja, który swoją nikczemnością Boga istność sławi i że od téj chwili w Bóstwo wierzy.*

Czarnoxiężnik zostaje sam i mówi do siebie, że się omylił i że trzeba w poecie w słabą stronę Chrześcianina uderzyć. Tymczasem Konrad, pełen uniesienia miłości, modli się do Matki Boskiéj, przed nią wylewa się z myślami o szczęściu braci, o zamiarze postawienia króla *cztérdzieści-cztéry*, jéj powtarza ustęp ze swojéj improwizacyi z r. 1840., improwizacyi, która snać zawsze dolega autorowi Beniowskiego. Wszystko to zrozumiałe jest dla każdego, kto zna okoliczności osobiste Konrada, ale co trudniéj pojąć to jego postanowienie użycia Andrzeja za narzędzie. Jakżez? Więc poeta, który Konrada zwie poczciwym, szlachetnym, wielkim, przypuszcza w nim podstęp, nieszczérość? Co tu sprzeciwieństw, jakie zamieszanie? Bodajbyśmy się omylili, ale wszystko to

ma pozory głębokiéj, niepowściągnionéj nienawiści. Konrad wyprawia Andrzeja do Szwaicaryi i żegna go wyrazami

Ty rządź z daleka i nigdy nie wracaj.

Ustęp o Duchu Lancy i o Duchu Charcic, wzmiankę *o tonie i o owacyacy* pomijamy. Daléj Konradowi głos z Nieba mówi, że ***braci do Panslawizmu prowadził;*** tak powoli przechodzimy całe koło zarzutów drukowanych i niedrukowanych, jawnych i powtarzanych pokątnie.

Konrad spotyka się z trupem. Trup to autor Beniowskiego, o którym wszyscy wiedzą, że został zabity w walce z wieszczem Litewskim. Trup przychodzi jako przyjaciel, przychodzi z rozkazu Chrystusa z napomnieniem i radą.

Miej serce w serce patrzaj i zagadaj szczérze
Zaśpiewaj dzisiaj jakeś wtenczas śpiewał,
Zostań przy Ojca twego matki twojej wierze
Rozgrzewaj piersi jakeś wprzód rozgrzewał.

Trup i Konrad wyzywają się na rozumy i duchy, oba wydają jeden głos, w końcu Konrad zwala zapaśnika, ale się obala i sam. Lekarz myśli, że on umarł, trup woła o przeciwniku, że ożył.

W drugim akcie w Sali Obrad demokratycznych lekarz chce krajać ciało Konrada. Zbiega się pełno ludzi na to widowisko, każdemu ze znajomszych ironicznie przymawia poeta, jednego Ukraińskiego wieszcza uczciwie wspomina. Trup do zgromadzonych rozprawia o demokracyi i o arystokracyi i mówi nie jedną rzecz prawdziwą, ale za nadto pogardliwie na wysłańca Chrystusa, na człowieka miłości. W przypomnieniach młodości swojéj, choć tak mętnych, trup czasem na tor rzewności wpada. Trup tak jak autor Przedświtu ---wiada czyn. Oto ostatnich kilka wierszy:

Konrad.

Kto jesteś taki? — ja ciebie zwalczyłem,
I tem zwycięztwem sam siebie zabiłem.

Trup.

Tyś mnie się dotknął i wziąłeś truciznę,
Którą mnie równie, jak Polskę zabiłeś,
Wypiłeś jad gorżki coś był wlał w ojczyznę,
On cię był zabił — i znowu ożyłeś!
Ja nie Almanzor ale polskie dziecie,
Co wśród rozpaczy błądziłem po świecie,
Nie jak Maur podstępem, ale z wiarą w sobie,
Jad coś tam zadał — ja odniosłem tobie.
On ci szczęście wydrze i w końcu pogrzebie,
Nie mnie, nie Ojczyznę, ale tylko
(głos z Polski) Ciebie.

Trup.

Oto jest piosnka, którąm ja zanucił,
Możem cię znudził — a może ocucił!
Tyś ją był zaczął — ja daléj opiewam.

Konrad.

Umilknij trupie — bo ja — ja dziś śpiewam!

To cały dziwaczny utwór, w którym Konrad nieraz Wallenroda, Trup nieraz Wajdelotę przypomina. Ale strach wyrzec, Konrad gra rolę Wallenroda z Panem Bogiem.

Śmierć X. Trynkowskiego ma związek wyraźny z *Dwoma Aktami*, bo w widzeniu X. Trynkowskiego znowu jest głośne wołanie na Adama:

. . . . O wstań uroczysty
Mistrzu młodości naszéj . . . . .
. . . . Twojéj Litwy syny
Wołają głosem jednym wspieraj nas Adamie!
Bo giniemy z pragnienia, wróg nam serca łamie,
Wesprzyj nas jednóm słowem.

Nie podobna nam całego dramatycznego poematu rozebrać, a ćwiertować go nie chcemy, wiele w nim gorącości, wiele rzeczy wzniosłych. Poeta ile tylko razy samolubnych na swoje boleści zwrotów zapomina, porusza strony, które żywo drgają w sercu wszystkich.

My należemy do ludzi ceniących umysł i artystyczne usposobienie autora Beniowskiego i szczérze się smucimy patrząc jak niespokojność wewnętrzna, jak nieukojona duma gnają go ciągle po bezdrożach. Kiedyż się rozpogodzi w téj duszy? Kiedyż poeta w obec narodu, który się po nim spodziewać nie przestał, zawiedzie śpiew prawdziwie męzki, brzmiący zwycięztwem nad sobą i prawdziwą miłością dla ludzi?

Powieści dla dzieci mają nie małą wagę, nieodżałowana Pani Hoffman pokazała, jak można jak potrzeba wpływać, na pokolenie młode, które jest całą nadzieją lepszéj przyszłości. Troskliwie doglądać książek dzieciom poświęconych uważamy za jeden z wielkich obowiązków uczciwéj a przezornéj krytyki, temu obowiązkowi będziemy się zawsze odpowiadać starali. W ostatnich czasach wyszły w Lipsku ***Powieści dla Dzieci przez Karolinę z Potockich Nakwaską, Część pierwsza*** (księgarnia Leopolda Michelsena). Większa ich część z Angielskiego z pani Marcet przetłomaczona została, ale jest i kilka oryginalnych. Najlepiéj nam się podo-

bała powiastka *To tylko Grosz,* w któréj znajdujemy taki na końcu Sens moralny:

Wiele temu cierpieć przychodzi, kto trwoniąc swe mienie, pozbawia się najmilszéj w życiu przyjemności stać się użytecznym bliźnim swoim. Człowiek rządny tylko może sprawiedliwie być dobroczynnym, bo on wie, że to co posiada, jest jego własnością i że krzywdą cudzą nie kupuje wdzięczności bliźnich. Broń cię Boże synu, żebyś był dusigroszem, to jest abyś lubił pieniądze dla ich saméj ceny . . . . .

Nie wszystkie powieści są zajmujące, nie wszystkie dosyć jasną moralność zawierają, wszakże w ogóle książeczkę tę z korzyścią dzieciom w ręce dawać można. Polszczysnę pani Nakwaskiéj nie znajdujemy dostatecznie poprawną.

Wydrukowano w Warszawie, kładąc jednakże na tytule Berlin, tłómaczenie tyle i tak słusznie okrzyczanéj historyi pierwotnych Słowiańskich kościołów Maciejowskiego. — Cały tytuł francuski brzmi jak następuje: ***Essai historique sur l'Eglise Chretienne primitive des deux rites chez les Slaves par W. A. Maciejowski, traduit en Français par le Docteur François de Sauvé. Berlin chez Asher 1846.*** Tłómaczenie dokonane pod okiem autora wiele do życzenia pozostawia.

P. Laponneraye autor głośnéj dosyć przed kilkunastu laty historyi rewolucyi francuskiéj, zaczyna ogłaszać drukiem Historią powszechną. Pierwszy tom wyszedł na widok publiczny pod tytułem ***Histoire universelle dépuis les premiers âges du monde jusqu'à l'époque actuelle.*** Paris chez Sébille 1845. Będzie tomów dwadzieścia (cztery historyi starożytnej, sześć średniéj i 10 nowszéj), każdy tom kilka rycinami ozdobiony kosztuje 5 franków. Z pierwszego, który dochodzi do epoki macedońskiéj nie wiele o całém dziele wróżymy. P. Laponneraye mało w prawdziwych źródłach czerpał, o Słowianach mówiąc, opiera się głównie na powadze Jeografii Malte-Bruna. Stanowisko jego religijnem nie różni się prawie od stanowiska pisarzy z końcu przeszłego wieku, Chrześciaństwo nie wiele wyżéj od religii Indyjskich stawia. Często przepisuje Herdera, jeszcze częściéj Volneya i Raynala.

W Fryburgu Badeńskim wyszło: ***Samuel Buller's Hudibras frei verdeutschet und neu mit Commentar aussge-***

stattet von Josua Eiselein Prof. der Univ. v. Heidelberg. Friburg in B. 1845. (3 th.) Poemat Butlera ***Hudibras*** ma wielką historyczną ważność, napisany za Karola II. w chwili oddziałania i w ducha oddziałania przeciw purytanizmowi rewolucyi Kromwelewskiéj, tyle prawie co Don Quijote w Hiszpanii, z którym ma wiele podobieństwa, na opinię swego czasu wpłynął. Butler był wykarmiony na wzorach klassycznych, szczególniéj znał co tylko lekkiego i rozpustnego starożytność i czasy odrodzenia wydały, trzeba przeto było nie małéj erudycyi, żeby text poety angielskiego porównaniami i przytoczeniami objaśnić. Pomogły w téj mierze P. Eiselein dobre edycie angielskie, ale i jego samego zasługa jest nie mała. Główna wartość tłómaczenia scholie stanowią. Tłómaczenie samo jest niezłe, wierne nie zawsze, ale zawsze łatwe i potoczyste.

[illegible] Eiselein (Prof. der Univ.) Heidelberg. Friburg im B. 1845. (3 M.) Poemat Butlera Hudibras ma wielką historyczną ważność, napisany za Karola II, w chwili odradzania i w duchu oddziałania przeciw purytanizmowi rewolucyi Kromwelowskiej, jest tyle prawie co Don Quixote w Hiszpanii, z którym ma wiele podobieństwa. Wedle opinie swego czasu wydawcy Butler był [illegible] na wzorach klassycznych, szczególniej [illegible] lekkiego i rzeźbionego stanowczości i czasy odrodzenia wydały, trzeba przeto było nie małej erudycyi, żeby text poety angielskiego porównaniami i przytoczeniami objaśnić. Pomógł w tej sztuce P. Eiselein dobre edycie angielskie, ale i jego samego zasługa jest nie mała. Główna wartość tłómaczenia schodzi stanowią. Tłómaczenie samo jest [illegible], wierne nie zawsze, ale zawsze łatwe i potoczyste.